Rok II. Nr. I.

BŁĘKITNY WETERAN



ORGAN STOWARZYSZENIA WETERANÓW BYŁEJ ARMII POLSKIEJ WE FRANCJI

Warszawa
Styczeń 1937 r.

Cena 60 gr

ROK II STYCZEŃ 1937 NR. 1

BŁĘKITNY WETERAN

ORGAN STOWARZYSZENIA WETERANÓW B. ARMII POLSKIEJ WE FRANCJI

Ilustrowane czasopismo, poświęcone historii i wspomnieniom b. Armii Polskiej we Francji oraz życiu i sprawom organizacyjnym Stowarzyszenia Weteranów b. Armii Polskiej we Francji.

Redakcja i Administracja czasopisma: Warszawa, ul. Długa 50 m. 108. Tel. 11.40-20. Konto P. K. O. Zarz. Głównego Stowarzyszenia Nr. 21.640

Warunki prenumeraty: Numer pojedynczy 60 gr. Prenumerata roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalnie 1 zł. 50 gr.

Naczelny Redaktor: Wacław Giżycki.
Wydawca: Stowarzyszenie Weteranów b. Armii Polskiej we Francji.

JÓZEF WIELOWIEYSKI

„CEMENT OGÓLNY"

Stało się to już do pewnego stopnia tradycją, że, jako Prezes naszego Stowarzyszenia, dzielę się z Wami, Koledzy, na łamach, czy to dawniejszego naszego Biuletynu, czy też obecnie na szpaltach „Weterana", memi wrażeniami i myślami, tyczącymi się bądź to naszej, „błękitnych żołnierzy", przeszłości, bądź też naszej, „Weteranów", teraźniejszości.

W ostatnich moich, na terenie naszego Stowarzyszenia, rozjazdach, w rozmowach z kolegami na temat naszej przeszłości, skonstatowałem rzecz niezmiernie pożądaną, związaną może potrosze z coraz szerszym rozpowszechnianiem się „Weterana" — coraz żywsze wspominanie przeszłości, rozpamiętywanie minionych czasów i zdarzeń, oraz zwracanie się serdeczną myślą ku dawno już prawie zapomnianym kolegom. Jest to objaw niezmiernie szczęśliwy. Tak jak wspomnienia młodości, wspomnienia lat dziecinnych budzą w każdym człowieku lepsze instynkta gorących, młodzieńczych umiłowań, tak i nasze żołnierskie wspomnienia wzbudzają w nas na nowo te szlachetniejsze instynkta ofiarności dla Ojczyzny, aż do życia włącznie, solidarności w obliczu niebezpieczeństwa, poczucia odpowiedzialności żołnierza na warcie, żelaznej dyscypliny, połączonej z wiernością dla bezpośredniej władzy, — tych wszystkich cnót żołnierskich, od których życie „cywila" tak łatwo nas, niestety, odzwyczaja.

Zauważyłem również jednak i pewien objaw, który mnie do pewnego stopnia zaniepokoił i na który chcę Wam, Kochani koledzy, zwrócić uwagę.

W rozmowach moich zdarzyło mi się słyszeć takie zdania: „My, z pruskiego zaboru, ryzykowaliśmy więcej niż ci, z Ameryki. Zasługa nasza jest większa" — „My, z Ameryki, mamy większą zasługę, gdyż rzuciliśmy i spokojny byt i dobre zarobki, a oni wychodzili z obozu jeńców, to całkiem coś innego" — „Myśmy przyszli odrazu, a te Włochy (te Polacy z włoskiego frontu) to dopiero w ostatniej chwili, gdy losy wojny już były przesądzone".

Otóż powiem Wam, Kochani Koledzy, iż twierdzenia takie wśród nas są, zdaniem moim, niedopuszczalne.

Wielu z tych, którzy przyszli do armii naszej w ostatniej chwili, mieli już uprzednio wielkie wobec kraju zasługi na innych terenach walk niepodległościowych. Znajdowali się śród nas i tacy, którzy byli w armii naszej od samego początku, a nie wiele „powąchali prochu". Dola żołnierza jest już taka, że jest on często pionkiem w czasie i przestrzeni, nie całkiem od siebie zależnym, lecz podporządkowanym swej władzy, a specjalnie tej władzy najwyższej jaką jest wola Boża.

Pamiętajmy o tem, iż byli wśród nas ludzie, którzy zginęli od pocisków armatnich, lub bomb aeroplanowych na tylniej linii bojowej, czasami nawet obok kuchni polowej, a byli i tacy, co wyszli cało z wielu ataków pierwszej linii, gdyż taka była wola Boża.

Przed każdym z naszych towarzyszy, którego pierś kryją odznaki bojowe, a któremu Bóg dał cało wyjść z opresji, winniśmy z szacunkiem i dumą chylić czoła. Z dumą, gdyż to jeden z naszych. Ale takim samym, jednym z naszych jest każdy, który nosił nasz mundur błękitny i który z własnej, nieprzymuszonej woli, jako ochotnik zgłosił się na służbę Ojczyzny.

Niech inni uwypuklą poszczególne zasługi każdego z nas. Nie wolno nam tego czynić sami sobie. Samochwalstwo, chęć wyróżnienia się kosztem swojego sąsiada, nie jest oznaką prawdziwego żołnierza. Skromność osobista, koleżeńska solidarność — oto oznaki prawdziwego rycerza.

Winniśmy być dumni z naszego sztandaru, z munduru, z naszych poszczególnych bojowych jednostek, z poszczególnych naszych kolegów, którym Bóg dał się specjalnie wyróżnić, ale nie wolno nam być dumnym z samych siebie, a specjalnie nie wolno wywyższać się kosztem twych kolegów. BŁĘKITNY NASZ MUNDUR WINIEN BYĆ TYM OGÓLNYM NASZYM CEMENTEM, KTÓRY NAS ŁĄCZY W JEDNĄ SPOJONĄ SILNIE BRYŁĘ. — I tak, różne wrogie nam elementy starają się naszą spoistość rozluźniać. Nie czyńmy więc tego sami. Pamiętajmy, co powiedział Marszałek Śmigły Rydz — „TUSZUJMY TO, CO NAS DZIELI, UWYPUKLAJMY TO, CO NAS ŁĄCZY".

HENRYK MOŚCICKI

Legiony Dąbrowskiego

(w 140 rocznicę)

(»Polska Zbrojna« z dnia 10-I-1937 r.)

Ostateczne akta rozbiorów Rzeczypospolitej Polskiej z 1797 r. wyrokowały, że Polski odtąd nie ma i nie będzie, że imię jej po wszystkie czasy zgładzone zostaje z oblicza ziemi, że »koniecznością jest wytępienie raz na zawsze wszelkiego po niej wspomnienia«. Pod oszałamiającym wrażeniem klęski w kraju głucha zapanowała apatia, beznadziejne zwiątpienie, zupełny niemal upadek ducha. Armia przestała istnieć, wodzowie jej byli uwięzieni; warstwy wyższe pełne rezygnacji, lud bierny, narodowo nieuświadomiony. A jednak i teraz jeszcze odzywały się głosy pełne wiary w możliwość wznowienia walk o niepodległość, snuły się myśli o przygotowaniach drogą spiskową nowej insurekcji; wśród wychodźców, którzy po upadku wojny Kościuszkowskiej udali się na Zachód, rodził się plan połączenia resztek wojska polskiego z rewolucyjną armią francuską; plan, który urzeczywistnił w postaci Legionów polskich we Włoszech dzielny generał Kościuszkowski, Jan Henryk Dąbrowski.

Zatrzymany w zdobytej Warszawie, doświadczając »wielkich łask« od Suworowa, który na próżno usiłował skłonić Dąbrowskiego do służby rosyjskiej, wciąż wyczekiwał zatargu prusko-rosyjskiego, z którego mogła wyniknąć nowa o Polskę wojna. Gdy to zawiodło, udał się do Berlina w zamiarze pozyskania Prus dla pomysłu wojny francusko-pruskiej przeciw Rosji i Austrii i odbudowania, choćby połowicznie, niepodległej Rzeczypospolitej. Lecz i te zabiegi nie odniosły skutku. Wtedy Dąbrowski, w myśl dawnego zamiaru oparcia się o Francję, podążył do Paryża z gotowym już planem utworzenia Legionów polskich przy rewolucyjnej armii francuskiej.

W stolicy Francji dostał się Dąbrowski w wir zgubnych emigracyjnych rozterek i wątlących czyny kłótni. Nie bez trudności znalazł posłuch i radą roztropną nakazał milczenie warcholskim głosom. Przezwyciężył niechęci urzędowych sfer paryskich i zdołał uzyskać polecenie do wybijającego się na czoło wypadków generała Napoleona Bonapartego. Plan Dąbrowskiego, opracowany przy współudziale Wybickiego i Barssa, niegdyś pełnomocnika Rzplitej Polskiej we Francji, polegał na utworzeniu Legionu polskiego, współdziałającego z rewolucją, a mającego stać się »zawiązkiem i jądrem armii, którą stworzyć potrzeba Polsce«.

Dn. 3 grudnia 1796 r. nastąpiło pierwsze spotkanie Dąbrowskiego z Bonapartem w głównej tegoż kwaterze, w Mediolanie. Przebieg rokowań zrazu nie był pomyślny. Napoleon ostro i nieprzychylnie potraktował projekt Dąbrowskiego, co najwyżej uważał za możliwe dopuszczenie ochotników polskich, bez samodzielnego stanowiska, do tworzącej się armii lombardzkiej. Dąbrowski był zrozpaczony. Na szczęście, zdołano przełamać zapatrywania Bonapartego na sprawę utworzenia Legionu polskiego, którego podstawą organizacyjną mieli być jeńcy i dezerterzy Polacy z armii austriackiej, walczącej z Francją. Po całych tygodniach niepewności, zgryzot i poniewierki, dochodził Dąbrowski do upragnionego celu. Dnia 9 stycznia 1797, przed stu czterdziestu laty, podpisany został pomiędzy rządem lombardzkim a przedstawicielem Polaków, gen. Dąbrowskim, układ, którego mocą, w zamian za posiłkowanie Lombardii w wojnie z Austrią, legioniści otrzymują obywatelstwo i żołd lombardzki, jednakże z prawem powrotu do kraju; mundury, odznaki i organizacja będzie zbliżona do dawnych polskich; na naramiennikach nosić będą legioniści napis po włosku i polsku: — »Ludzie wolni są braćmi«, nadto używać będą trójkolorowej kokardy francuskiej.

Niebawem wydał Dąbrowski w kilku językach odezwę do rodaków:

»...Polacy, nadzieja powstaje. Francja zwycięża. Ona się bije za sprawę narodów... idźmy pod jej chorągwie... Bijmy się za sprawę wszystkich narodów, za wolność...«

Już w dwa tygodnie po ogłoszeniu odezwy Legion liczył przeszło tysiąc ludzi pod bronią, niebawem sformowane zostały dwa bataliony: grenadierski pod dowództwem Strzałkowskiego i strzelecki pod Kosińskim. Zaledwie utworzone oddziały otrzymały rozkaz stłumienia powstania ludowego we Włoszech, w okolicach Brescji i Werony. Wprawdzie obowiązek ten nie odpowiadał właściwemu powołaniu żołnierzy polskich, jednakże Dąbrowski rozkaz wypełnił, postępując w stosunku do ludności włoskiej surowo, lecz sprawiedliwie. Tym czasem z wciąż napływających ochotników tworzył się trzeci batalion strzelców i pierwsze dwie kompanie artylerii. Korzystając z trwającej nadal wojny francusko-austriackiej Dąbrowski przedstawił Bonapartemu plan przedarcia się Legionów do Galicji i wywołania tam powstania. Napoleon godził się na projekt powyższy i wydał nawet rozkaz koncentracji sił polskich. Atoli próżnymi okazały się nadzieje, ożywiające Dąbrowskiego. Bonaparte zawiódł jego oczekiwania; w gruncie rzeczy dla odbudowy państwa polskiego nie mógł narażać interesów francuskich i odwlekać zawarcie pokoju. Widoczną oznaką tego stał się traktat z Austrią w Campo Formio, w którym mowy nawet nie było o Polsce. Pomimo tych zawodów Dąbrowski nie opuścił rąk bezradnie i wiary nie tracił. Odzwierciadleniem tej wiary stała się napisana przez Józefa Wybickiego pieśń »Jeszcze Polska nie zginęła!« Pieśń, która odtąd w długie noce niewoli krzepić miała serca polskie, przy każdej przeżytej nadziei i przy każdej przecierpianej stracie zrywała się niezgłuszona, triumfu pełna, kojąca mękę niewolnego życia, jak niepożyta moc i jak wicher potężnego narodowego hymnu.

Dąbrowski zabiegał dalej o zjednanie rządu francuskiego dla Legionu, a równocześnie kształcił wciąż wzrastające liczebnie oddziały polskie.

Tak pracując i ucząc się, doczekano roku 1798 i nowej wojny. Król Neapolu rozpoczął walkę z Francją. Dąbrowski ruszył na pomoc słabym siłom francuskim, w maju zajął Rzym. W bitwie z trzykrotnie silniejszym nieprzyjacielem pod Civita Castellana zwycięsko ścierał

się Kniaziewicz; pod Magliano Józef Chłopicki, późniejszy w 1830 r. wódz naczelny; w końcu grudnia Kniaziewicz wraz z Dąbrowskim zdobyli potężną twierdzę Gaetę; wreszcie w styczniu 1799 legioniści zajęli Neapol. W marcu wybuchła wreszcie wojna, tak niecierpliwie oczekiwana przez Dąbrowskiego i towarzyszów. Przeciw Francji wystąpiły Austria i Rosja, która wysłała najlepszego swego wodza, Suworowa. Odżyły teraz wśród legionistów dawne nadzieje, że zbliża się chwila, kiedy pociągną »z ziemi włoskiej do Polski«. W kilkunastu bitwach oręż polski nową okrył się chwałą, nie kiedy, jak np. nad rzeką Adygą, chroniąc armię francuską od rozbicia. Kampania była nadzwyczaj ciężka. Legia druga, Rymkiewicza, później Wielhorskiego, bije się mężnie pod Weroną; zdziesiątkowana, dostaje się do twierdzy mantuańskiej, gdzie po długiej bohaterskiej obronie, oddana zostaje przez kapitulację francuskiego generała w ręce zwycięzców. Legia pierwsza walczy zacięcie z Suworowem nad Trebbią i pod Novi, gdzie ginie niemal doszczętnie.

Tymczasem Bonaparte wraca z Egiptu, staje na czele rządu i armii. Szala zwycięstwa zaczyna się przechylać na stronę Francuzów. Dąbrowski podaje ponowny plan wtargnięcia z Legionami do Galicji. Siły polskie wynosiły wtedy około 15 tysięcy ludzi; przy poparciu odpowiedniego korpusu francuskiego zamierzał Dąbrowski przedrzeć się przez Czechy i Morawy do zaboru austriackiego, a stamtąd dalej w głąb Polski. Plan powyższy przyjęty został przez Bonapartego. Resztki Legii pierwszej przeszły na żołd francuski, zachowując nazwę Legii polskiej i odznaki narodowe. Legia druga, tworzona przez Kniaziewicza pod nazwą Naddunajskiej, bierze zaszczytny udział na niemieckim teatrze wojny i w bitwie pod Hohenlinden rozstrzyga los walki, wytrzymując na sobie przez dzień cały nacisk przeważającego wroga. Lecz zwycięstwa te wpłynęły niekorzystnie na sprawę polską. Pobita Austria i Rosja pośpieszyły ofiarować Francji pokój na korzystnych warunkach, które rząd francuski, dbały przede wszystkim o interesy swego kraju, chętnie przyjął. Plan przedarcia się do Galicji upadł.

W traktatach pokojowych, 1801-2, Bonaparte zobowiązał się do niepopierania i karania wszelkich spisków na gruncie francuskim, skierowanych przeciwko Austrii i Rosji. Część legionistów wstąpiła do służby włoskiej, resztę wysłano na wyspę San Domingo, gdzie Francja miała do czynienia z powstaniem Murzynów; tam, daleko od kraju, w niezaszczytnych bojach za obcą sobie sprawę, wyginęły resztki Polaków od zabójczego klimatu i broni murzyńskiej.

Taki był koniec bohaterskiej działalności Legionów. Ogółem przewinęło się przez nie przeszło 800 oficerów i 30 tysięcy szeregowców. Zasłali trupami swymi pola Europy od Adriatyku po Dunaj, od Alp Północnych Włoch po Apeniny Południa, pod skwarnym niebem afrykańskim. Krew popłynęła na marne...

A jednak »w tych szeregach walczących pod trójbarwną kokardą republikańską, z napierśną dewizą: »Ludzie wolni są braćmi«, stawała się nowa epoka dziejów narodu«. Żołnierz legionowy wniósł przede wszystkim świadomość celu, dla którego idzie się bić, poczucie godności, zapał, odwagę i rzadką wytrwałość. Jak stal się zahartowało, oczyściło, rozbłysło uczucie patriotyczne. Legiony wprowadziły na nowo sprawę polską na rozleglejszą widownię europejską, wsławiły imię polskie, zdemokratyzowały hasła niezawisłości ojczyjny wśród szerokich mas ludowych. Okupując winy przeszłości, z jaśniejącą w zbrojnych piersiach duszą narodu, szli pod obcą chorągiew, ale do walki z wrogiem własnej ojczyzny, szli oddać życie za ziemię polską, za Polskę, i stwierdzili przed ludami świata, że naprawdę »Nie zginęła!«

Chwalebna przeszłość Armii Błękitnej i jej dzisiejsza niedola

Ojcem błękitnego żołnierza był rycerski hart duszy ludu polskiego, a matką — serdeczna miłość dla Ojczyzny. Życie jego poczęte zostało w roku 1914 w chwili, gdy w Europę i świat cały uderzył niespodziewany grom Wielkiej Wojny.

Na pobojowiskach niewinnie napadniętej Francji zmartwychwstała raz jeszcze wiekowa legenda epopei napoleońskiej i rozległ się z za grobu mocarny głos Tego, komu przed laty »Bóg powierzył Honor Polaków«.

Od pierwszego dnia mobilizacji powszechnej, ogłoszonej 2-go sierpnia, synowie Polski niewolnej, zamieszkali we Francji, pośpieszyli tłumnie do szeregów Armii Francuskiej, tworząc w niej niebawem całe odrębne bataliony polskie, lub też rozsiewając się w ogólnej masie Francuzów pod bronią, w różnych pułkach liniowych.

Oddając z taką gotowością swe siły i życie do dyspozycji generała Joffre'a powodowali się polscy ochotnicy uczuciem wdzięczności za gościnę, doznaną na wolnej ziemi »słodkiej Francji«, i tym atawistycznym wprost nakazom, które skłaniają zawsze każdego dobrego Polaka do wystąpienia z bronią w ręku, gdy bezpieczeństwo ludów wolnych, lub istnienie łacińskiej cywilizacji są zagrożone przez germańskiego najeźdźcę.

Szli oni w bój z teutońską nawałą, mając w sercu głęboką wiarę, że zwycięstwo Francji nad Niemcami przywróci panowanie sprawiedliwości w całej Europie i rozniecí jutrzenkę wolności dla Polski, umęczonej w okowach trzech zaborców.

W krwawych zapasach z wrogiem, kładli bez szemrania swe młode życie »bajończycy«, »ruelczycy« oraz ci wszyscy, co w szeregach Legii Cudzoziemskiej i w innych formacjach francuskich walczyli ochotniczo za wolność narodów uciśnionych i triumf sprawiedliwości dziejowej.

Wierzyli oni, że po zwycięstwie słusznej sprawy zapanuje ogólne braterstwo ludów wolnych i że była to ostatnia Wielka Wojna — wydana samej Wojnie.

A gdy polski Orzeł Biały wzbił się z okopów Szampanii na pohybel czarnemu sępowi hord napastniczych i otrzymał chrzest bojowy, przepłacony życiem bohater-

skiego chorążego Szujskiego, gdy zastępy walecznych Polaków swym wyjątkowym męstwem wprawiły w podziw francuskich dowódców i nową rycerską legendą otoczyły dawną chwałę polskiego oręża — wówczas liczne tysiące Rodaków na obczyźnie poderwało do walki jedno wspólne, wielkie pragnienie. **Autonomiczna Polska Siła Zbrojna, walcząca obok Armii Francuskiej pod własnymi sztandarami i własnem polskiem dowództwem, musi wziąć udział w tej walce na śmierć i życie, by dla Ojczyzny zdobyć Wolność i Niepodległość.**

Z tego porywu serc niezłomnych, z tego płomiennego ducha synów polskiej ziemi, rozproszonych w poszukiwaniu chleba po krańcach świata całego, powstała niebawem wielka Armia Polska we Francji — Armią Błękitną zwana.

I jak oko wędrowca widzi w oddali tylko zwarty mur lasu, który go nęci swą cienistą głębią i utajonym urokiem swych przepastnych kniei, a drzew oddzielnych odróżnić nie może, lub zdradziecko ukrytych topieli i bezdroży; jak szerokie pole w czas zbioru złoci się łanem dojrzałego zboża a poszczególnych kłosów, brzemiennych w życiodajne ziarno, czy też szkodliwych chwastów dojrzeć w nim nie sposób — tak **żołnierz polski na obczyźnie obejmował oczyma duszy stęsknionej jedynie cały kraj rodzinny, jako jedną wielką, świętą, drogą i uroczą całość,** a nie mógł i nie chciał widzieć w swej dalekiej Ojczyźnie tych dzielnicowych, politycznych społecznych oraz tylu innych podziałów i rozbieżności poglądów na sprawę polską, które zatruwały wówczas zbiorowe życie Narodu.

Obywatel ofiarny i rycerz bez skazy wielkiej sprawy Niepodległości Ojczyzny, był i jest żołnierz błękitny szczerym wyznawcą i prawdziwie idealnym wcieleniem hasła: „JEDNOŚCI NARODOWEJ“, które dziś znów rzucił w społeczeństwo Wódz Naczelny Sił Zbrojnych Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Hasło skupienia wszystkich twórczych sił wokoło autorytetu Naczelnego Wodza Armii Polskiej złączyło niegdyś błękitnych ochotników z Francji, Italii, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Kanady, Syberii, Murmanu, Japonii, Chin, Grecji, Kaukazu i wielu innych krajów świata całego, tworząc z nich potężną siłę, która i dziś jeszcze zachowała swe pierwszorzędne dla Polski znaczenie.

Z tych to wiernych synów Macierzy powstała we Francji, na mocy dekretu prezydenta Poincare z dnia 4-go czerwca 1917 roku, wielka Armia Polska, znakomicie wyćwiczona i wyposażona technicznie, liczebność której, przed powrotem do kraju, osiągnęła przeszło 100.000 wyborowego żołnierza.

Po zwycięskich walkach we Francji, pod rozkazami bohaterskiego jednorękiego generała Gourand, po przypieczętowaniu krwią prawa Polski do niepodległości i równouprawnienia z innymi wolnymi narodami, po zdobyciu dla przedstawicieli Państwa Polskiego miejsca za stołem, na którym był podpisany Traktat Wersalski, Armia Błękitna stanęła na rodzinnej ziemi, by w chaosie walk ówczesnych, ramię przy ramieniu z siłą zbrojną utworzoną w kraju, wykrzesać mieczem zręby odrodzonej Rzeczypospolitej i zakreślić bagnetem jej granice.

Triumfalny marsz po odbiór ziemi pomorskiej i wybrzeża polskiego Bałtyku, walki z Ukraińcami pod Lwowem, boje na Śląsku z Niemcami, na Wołyniu i hen u Złotych Wrót Kijowa z przemagającemi siłami hord moskiewskich okryły raz jeszcze chwałą sztandary Armii Błękitnej. Obrona Warszawy w roku 1920 i piorunujący pościg pokonanego wroga dały ostateczne zwycięstwo Siłom Zbrojnym Rzeczypospolitej i zapewniły byt Państwa.

I oto, gdy po wspaniałych uroczystościach na cześć zwycięskiej Armii i po pierwszych upojeniach wolnością błękitny żołnierz Niepodległości powrócił w domowe progi, przez tyle lat opuszczone w służbie zbrojnej dla Ojczyzny ratowania, okazało się niebawem, że dla niego nie ma miejsca w gronie pracowników, powołanych do odbudowy Państwa i że mundur błękitny przestał być jego chlubą, a będzie szatą nędzarza.

Był to cios dla nas po nad wszelki wyraz bolesny.

Zrzeszyliśmy się w Stowarzyszeniu Weteranów b. Armii Polskiej we Francji, by dalej służyć Polsce; mamy piękne zasady i uczciwe zamiary, pragniemy szczerze wypełniać jak najlepiej obowiązki nasze względem kraju i społeczeństwa; jesteśmy karni i lojalni wobec władz prawowitych, a siły nasze oddaliśmy bez zastrzeżeń do rozporządzenia Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej. Pałamy chęcia przemożną nowego zbiorowego wysiłku całej Błękitnej Armii, odrodzonej w walce pokojowej o Polskę uczciwą, szlachetną i naprawdę wielką w ofiarnej współpracy wszystkich zacnych i twórczych obywateli Państwa. — Cóż z tego, gdy nasza dobra wola nie może przełamać otaczającej nas niechęci!

Doszedłszy pełni wieku męskiego, osiągnąwszy należytą równowagę rozwoju wszystkich naszych sił fizycznych i duchowych — czujemy w sobie ogromne zasoby energii życiowej, a jednak skarby, które chowamy w sercu i duszy naszej są niewykorzystane dla dobra Ojczyzny i Narodu Polskiego.

Nie żądamy zapłaty za nasz trud i znój żołnierski, nie pragniemy żadnych zaszczytów i dostojeństw, nie ważyliśmy się nigdy krwi poległych Towarzyszów broni na srebrniki rozmieniać, ale chcemy jedynie szczerze w zbożnej i ciężkiej pracy dnia codziennego służyć Ojczyźnie, zdobywać uczciwie chleb powszedni dla naszych rodzin i mieć możność zapewnienia swym najbliższym bezpiecznego dachu nad głową.

Dlaczego więc odsuwani jesteśmy od udziału w szerszej pracy państwowej?

Dlaczego dzieje się nam tak straszna krzywda, że mundur błękitny, który był niegdyś w walce zbrojnej o Wolność, naszą i całej Polski chlubą oraz symbolem cnoty obywatelskiej — dziś w walce życiowej — jest dla nas przeszkodą nie do przebycia i jakby niezasłużonem piętnem, które ciąży nad głowami naszych głodnych rodzin?!

Dlaczego wynędzniałe rzesze naszych bezrobotnych Kolegów daremnie kołaczą o prawo do życia i pracy, która jest jedynem prawdziwem dostojeństwem każdego wartościowego człowieka i jego niezawodną obroną przed ślepymi ciosami bezlitosnego losu?

Gdy dziś Naród Polski szuka oparcia przed tym huraganem dziejowym, który rozpętały nad Europą ciemne, zbrodnicze siły krwawej międzynarodówki, gdzież mocniejsza ostoja i pewniejsza obrona, jak nie w zespolonym wysiłku wszystkich zasłużonych żołnierzy Niepodległości?!

A gdy Wódz Naczelny wzywa do jedności narodowej — to czyż ta jedność tylko w ofiarach wspólnych

musi mieć swój wyraz, a nie również i w prawie nabytem w walkach o wolność Ojczyzny do sprawiedliwego podziału, po wspólnej pracy, tego kęsa czarnego chleba, który ziemia polska, krwią i znojem naszym żołnierskim tak hojnie zroszona, dać nam wszystkim może?

Błękitni Żołnierze Niepodległości, zjednoczeni w Stowarzyszeniu Weteranów b. Armii Polskiej we Francji wołają gromkim głosem: spełniliśmy nasz obowiązek żołnierski, chcemy pełnić teraz nasz obowiązek obywatelski, w równouprawnieniu zupełnym z innymi Obrońcami Ojczyzny!

A gdy wybije godzina przeznaczenia — to znów pójdziemy pierwsi w bój o Polskę, bo taki jest nasz żołnierski obowiązek.

Dziś zaś nie chcemy być ostatni, **żądamy przywrócenia należnego nam szacunku, żądamy sprawiedliwości i pracy,** bo takie jest nasze prawo wolnych obywateli Rzeczypospolitej.

WŁADYSŁAW CEBULA.

Wspomnienia z czasów wojny światowej

II.

Dotrzymując swego zobowiązania wobec Sz. Redakcji i Kolegów, złożonego w czwartym numerze naszego kochanego »Weterana«, przystępuję do opisania mych przejść, które poprzedziły moje wstąpienie do Armii Polskiej we Francji.

Wybuch wojny światowej, tej wojny, o którą dziesiątki lat modlili się nasi wieszczowie, nastąpił, gdy miałem zaledwie lat 15, t. j. byłem w wieku takim, w którym nie nadawałem się jeszcze do niczego. Marzenie jednak moje o walkach z najeźdźcami zaczęło przybierać realne kształty i wiedziałem już, że się ono spełni i to w niedługim czasie.

Po upływie czterech tygodni od dnia mobilizacji, władze c. k. Austrii musiały, pod naporem wojsk rosyjskich, opuścić swoje »suwerenne« ziemie b. Galicji, aby powrócić później jeszcze na niedługi czas i oddać panowanie na tych ziemiach w ręce Polskie.

Zamieszkując przez czas ten w okolicach Łańcuta, miałem okazję, przez dość długi czas, poznać największego naszego gnębiciela, a to »matuszkę Rosję«, której chwilowe sukcesy wojenne przyprawiały mnie o rozpacz. Pragnąłem jej zguby. Prosiłem Boga o jakieś nadzwyczajne wydarzenie, aby cała nasza »kochana« trójka zapadła się w otchłań, lub wymordowała się wzajemnie, z wyjątkiem oczywiście mych braci, którzy przekleństwem losu byli zmuszeni służyć we wrogich sobie szeregach.

Nie mogąc w czasach tych nigdzie się wydostać, przetrwałem tak do końca roku 1916. Gdy powróciły władze austriackie, nim zdążyłem się zorientować jaką drogę obrać dla siebie aby stanąć gdzieś w szeregach walczących, ale walczących o wolność Ojczyzny i pod własnymi znakami, zostałem niespodziewanie, jako 17-to letni chłopak, wprost z komisii, wcielony przymusowo do znienawidzonej armii austriackiej.

Gdy fakt ten już, niestety, stał się faktem, przysiągłem sobie, że będę tam tylko do przybycia na front. A wówczas krótka droga na przeciwną stronę. Uważałem, że nie będę długo na to czekał, gdyż — znając brak materjału ludzkiego, którym rozporządzała Austria, — miałem nadzieję bardzo prędko znaleźć się na froncie. Przedłużyłem jednak sam tę chwilę, gdyż będąc w 90 p. p. i wiedząc, że pułk ten ma przydział tylko na front włoski, a niechcąc za żadną cenę walczyć z przyjaciółmi w ostatniej chwili z kompanii frontowej zgłosiłem się na ochotnika do 11 p. kawal. czeskiej, który to pułk miał przydział na front rosyjski.

Cieszyłem się z udanego przydziału, gdyż—wiedząc o »gorliwości« Czechów w przejściach na przeciwną stronę, — miałem nadzieję na sympatyczne towarzystwo. Nadzieje te w części zawiodły, gdyż o tej gorliwości wiedziały również i władze wyższe i uczyniły wobec tego z pułków czeskich istną wieżę Babel. Znalazłem tam wszystkie narodowości, jakie znajdowały się pod dobrotliwym panowaniem Habsburgów. Lwia część była Ukrajnców, na których wierność mogły zawsze liczyć władze Austrii. Byli oni do końca wiernymi jej synami. Mieszanina ta miała asekurować przed masowymi przejściami do przeciwnika i, trzeba przyznać, kombinacja ta odniosła skutek, gdyż nie można było naprawdę w takim zbiorowisku z nikim się dogadać, jeden drugiego się obawiał i jeden na drugiego liczyć nie mógł.

Po przejściu wyszkolenia, zostałem znowu w sierpniu 1917 r. wcielony do kompanii frontowej i wysłany ku mej niepomiernej rozpaczy na front rumuński. Nie żywiłem do Rumunów żadnej nienawiści, przeciwnie, serdecznie bolałem nad ich niedolą, z powodu zadanej im przez Niemców klęski. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zanim zdążyłem przybyć do pierwszej linii, nastąpiło zawieszenie broni i dzięki Bogu mam obecnie czyste sumienie.

Dr. IGNACY WIENIEWSKI, por. rez

Z ziemi francuskiej do Polski

(ciąg dalszy)

A dzisiaj? Dzisiaj szczęśliwsi od wiarusów Dąbrowskiego żołnierze zdążali do wyzwolonej ziemi a stara melodja z przed wieku mogła swobodnie wylecieć z żołnierskich piersi, jak radosny ptak, i szerokim lotem wznieść się nad szeregi....

Szedł więc rozśpiewany pułk białym gościńcem w blaskach rannego słońca, wśród zielonych runi oziminy i srebrnych gajów brzozowych. Mijał uśpione jeszcze wsie i osady budząc je pieśnią polską. Ukazywały się w szybko otwieranych oknach twarze pełne zdumienia na widok tego dziwnego wojska, od którego biła radość, jak łuna, i rogatywek na głowach oficerów i srebrnych orłów wśród czerwieni sztandarów. Słuchano ze zdziwieniem niezrozumiałych pieśni, śpiewanych w obcym języku, co czasem huczały, jak zbliżająca się burza, a czasem szumiały cicho, jak wietrzyk wieczorny wśród lip, kipiały szałem dzikiego tańca zbójnickiego lub wzdychały smętkiem skargi dziewczęcej....

Bo też rozśpiewali się dnia tego błękitni wojacy wszystkimi piosenkami żołnierskimi, jakie tylko znali. Były tam i te smutne a tęskne do wojenki, owej kochanki o sercu kamiennym, co z twardym uśmiechem na wargach patrzy, jak giną jej rycerze, i te drugie, co słodką pociechą żegnają poległych żołnierzyków, że im się Polska przyśni w grobie; a potem te wdzięczne o ułanie urodziwym wśród kwietnych błoni, co mu dziewczyna zapłoniona róże podaje; i te zawadiackie o kompanii, co z pozycji wysyła list do kajzera, że się go nie boi; i krocie a krocie innych, opiewających niefrasobliwe amory żołnierskie przy muzyczce, co swem »tirli, tirli« zagłusza bezceremonialne zaloty do Maruszki....

Południe było, kiedy zdrożony pułk wmaszerowywał do Montereau. Miasteczko wyległo na ulicę, którą przechodzili Polacy, zdążający do baraków. Mieli w nich spędzić noc, by nazajutrz, w Wielką Sobotę, wsiąść do pociągu.

Odpoczywali niedługo. Kiedy nakarmiła ich poczciwa kuchnia polowa i mniej poczciwy kucharz Wiaderko, którego szafarstwo było przedmiotem sarkastycznego sceptycyzmu żarłocznej braci, każdy, kogo tylko nie zatrzymywała służba, ruszył na miasto, by wyzyskać wolne popołudnie.

A słoneczne Montereau jaśniało przedświąteczną radością. I nietylko przedświąteczną. Była to przecież pierwsza Wielkanoc, jaką miano spędzić bez zmory wojennej. A poczciwy, niefrasobliwy ludek prowincjonalnego miasteczka francuskiego nie lubi żywiołowych kataklizmów i smutnych tragedji. Lubi smaczny, skromny obiadek, okraszony tanim winkiem z południowych departamentów, lubi się czasem zabawić, niekiedy swawol-

---

LEON SZYMAŃSKI

Ze wspomnień Bajończyka

(Ciąg dalszy)

Następnego chorążego obraliśmy p. hr. Jana Sobańskiego, który miał do Polski sztandar oddać. Z końcem kwietnia 26-go 1915 r. przeniesiono nas z Szampanii do Artos, gdzie się odbyła w owym czasie największa bitwa. Zaraz po przybyciu naszego pułku zażądano z naszej kompanii (od 300 ludzi) 4 grenadierów do rzucania bomb i rozbijania posterunków obserwacyjnych. Ćwiczyliśmy się całymi dniami. Dnia 4, 5, 6, 7 i 8 maja artylerja dalekonośna bombardowała tyły nieprzyjacielskie i przygotowywała wszystko do ataku; miał atakować 33 korpus gen. Petain'a.

Dnia 8 maja wieczorem zebrano nas do apelu i oznajmiono że dowództwo wybrało naszą kompanię do prowadzenia całej bitwy. Zadaniem naszym było wyjść parę sekund naprzód przed całą armią. Wieczorem dobre zaprowiantowanie i krótki spoczynek. Gdy się ściemniło poszedłem sam za nasz barak, odmówiłem 1 Zdrowaś Marjo i poleciłem się Matce Najświętszej.

Dnia 9 maja około 1 godziny wyruszyliśmy na pierwsze linie ataku. Byłem co sił starczyło obładowany amunicją, dostałem 2 torby bomb 8 systemów, naboje dostałem do karabinu również wzmocnione, celem niszczenia stalowych zasłon w posterunkach osberwacyjnych.

Dzień był bardzo pogodny, a ponieważ na całym froncie jak tylko oko ludzkie mogło sięgnąć w prawo i lewo artyleria francuska z całym wytężeniem bombardowała pozycje niemieckie, więc mogliśmy wszystkie nieprzyjacielskie pozycje obserwować zupełnie swobodnie. Szczególnie od godziny 8-mej do 10-tej, gdy artyleria wykonywała tak zwany ogień dowolny, to się wytworzył widok językiem ludzkim do nieokreślenia piękny, czarujący i zarazem najokropniejszej zgrozy, aż się co pewien moment ziemia ruszyła. Jak tylko można okiem sięgnąć, utworzony między niebem i ziemią mur dymu, zasłaniał pozycje niemieckie. Nadeszła chwila obrachunku. Dziwne też we mnie panowało uczucie zadowolenia, choć w tym momencie każdy z nas był 100% przekonany, że więcej z tego piekła nie powróci. Obok mnie stojący ów kolega Joel, który w Boyonne dał nam praktyczną wskazówkę, był bardzo smutny i, by go pocieszyć, mówię: »słuchaj Joel, ja wcale nie żałuję umrzeć i przed śmiercią tak wspaniały widok zobaczyć«. Joel stał nadal smutny i nic nie odpowiadał. Ziemia się trzęsła pod ciśnieniem powietrza przy pękaniu granatów.

Po paru minutach przybył dowódca naszej kompanii i dowódca batalionu major Noirel, dając ostatnie wskazówki jak się zachować przy prowadzeniu ataku. Wszystko leży i czeka w rowach. Godzina 10-ta — jakgdyby za naci-

nie poflirtować — och, bez dramatów miłosnych, tylko tak sobie »pour rigoler«....

A przede wszystkim bardzo lubi, kiedy nadchodzą wesołe świątki wiosenne, usprawiedliwiające trochę lepszy żłóbek i trochę więcej winka. Zaś kiedy jeszcze do tego słoneczko łaskawie przygrzeje i pozwoli wyjść na świeżą trawkę, czegoż jeszcze brakuje do szczęśliwości obywateli z Montereau czy z innego »patelin'u«?

Tego roku wszystkie warunki dopisały. Ujrzeli więc błękitni żołnierze wesoły tłum gospodyń, załatwiających ostatnie sprawunki świąteczne i poważnych mężów, śpieszących do kościoła, by po drodze odbyć miłą rewię słodkich ocząt, roześmianych dziś do słońca.... i do nieznanych wojaków w rogatywkach. I nie wiele kwadransów upłynęło do chwili, w której zgorszone Montereau ujrzało swe córy, przechadzające się w najlepszej komitywie z przedsiębiorczymi przybyszami nad malowniczymi brzegami swych obu rzek. Trzeba bowiem wiedzieć, że przyroda, jakby z chęci ułatwienia amorów sympatycznym mieszkańcom miasteczka, obdarzyła je niezwykle uroczym położeniem, każąc Sekwanie i Yonnie połączyć swe wody właśnie w Montereau. Tego zaś dnia widziała aż nadto dobrze, jak mądrze postąpiła...

Tymczasem pozbawieni tych wszystkich rozkoszy nieszczęśnicy, którym dane było pozostać w barakach, pogrążyli się w gorzkich rozmyślaniach nad ciężką dolą żołnierską. Prym między niezadowolonymi wiódł zadzierżysty kucharz Wiaderko, który musiał tkwić w obozie dla uwarzenia kolacji. Wywijał z pasją warzęchą, symbolem swej władzy i patrzał tylko, gdzieby wyładować swój zły humor. Aż znalazł.

Baraki, przeznaczone dla Polaków, otoczone były wysoką żelazną siatką, za którą rozciągały się dalsze zabudowania. Otóż okazało się, że mieścił się tam obóz jeńców niemieckich, którzy tłumnie zbiegli się do siatki, by zobaczyć, co to za nowe wojsko z nimi sąsiaduje. Dowiedziawszy się, że to Polacy, zaczęli gwałtownie między sobą szwargotać, gniewnie gestykulując. Najwięcej rzucał się gruby, rudobrody Niemiec, typowy »Boche« o tłustym obliczu, zaopatrzonym w pół funta czerwonych, germańskich uszu. Jak się później okazało, był to przemysłowiec śląski z Katowic. Widok polskich rogatywek podziałał na niego, jak czerwień na indyka. Ponieważ zaś od Polaków oddzielony był bezpieczną siatką, a w pobliżu nie było dyżurującego żołnierza francuskiego więc uważał, że może swobodnie dać upust swym uczuciom prawomyślnego Prusaka.

Ale nie wiedział, że znajdzie przeciwnika tej miary, co Wiaderko. Kucharz był Poznańczykiem i umiał doskonale po niemiecku, to też zagotowało się w nim, kiedy usłyszał zuchwałe szwargotanie otyłego Szwaba. Równocześnie był mu wdzięczny, choć sam sobie tego nie uświadamiał, że Niemiec tak w samą porę mu się nawinął, by on Wiaderko, mógł na nim wywrzeć swą dzisiejszą furię. Zbliżył się do siatki i rozpoczęła się tytaniczna walka na języki, iście klasyczna stychomitia godna tragedii attyckiej. Prusak za swą siatką twardy był i nieustępliwy, to też słowa obu przeciwników krzyżowały się ze sobą, jak błyskawiczne cięcia szpad. Dokoła stłoczyli się po jednej stronie Polacy, po drugiej Niemcy, jak dwa chóry tragiczne, by uczestniczyć w pojegynku i podsycać w zapaśnikach ochotę bojową.

— Niedługo już waszego panowania szwabskiego na Śląsku! — krzyczał po niemiecku Wiaderko.

śnięciem guzika elektrycznego wszystko po stronie francuskiej na pewien moment ucichło, zaś ze strony niemieckiej odezwali się niedobitkowie. Momentalnie na całej linji francuskiej rozległ się powtórny ogień dowolny przez 5 minut. Godzina 10,05 — ze strony francuskiej bombardowanie pierwszych pozycyj niemieckich zupełnie ucichło. Momentalnie na całej linii odgłos trąbek zawezwał wszystkich do ataku. Wszystko co żyło z naciśniętemi na głowy czapkami parło naprzód. Niemcy prażyli nas okropnie ogniem artylerii 77 mm. Obustronne artyleria, aeroplany i ludzki krzyk; wytwarzało to istną piekielną menażerię. Zdobyliśmy w mgnieniu oka I-sze okopy, w których się jeszcze parę tysięcy Niemców poddało. Myśmy równo szli naprzód, a następne linie zajmowały się chwytaniem niewolników. Załatwiliśmy się dobrze z II i III-cią linią okopów i weszliśmy na nieufortyfikowane pola. Na całej linii Niemcy w odwrocie — jakieś 300 m przed nami uciekają, a my za nimi...

Obustronny ogień robi okropne spustoszenie. Mój Joel na kawałki rozbity; tylko w lewo spojrzałem, aż tu młody Stańczyk z Królestwa na dwie części rozerwany. Co tylko żyje wszystko ze zwierzęcą wściekłością goni nieprzyjaciela; w naszym punkcie zdobyliśmy około 6 km w głąb, idąc nadal naprzód. Nagle i na mnie kolej nadeszła, na 1 m odległości rozerwał się armatni granat, który mi w pozycji strzelającej doszczętnie karabin potrzaskał i prawą rękę zupełnie złamał w 3-ch miejscach, ręka zwisła i momentalnie poczerniała. Krzyknąłem po francusku, że już jedną rękę mniej!... Obejrzałem się i, niestety, nikt mego głosu nie słyszał... byłem sam. Ciemno mi się zrobiło i po pewnym momencie przebudziłem się, leżąc w kałuży krwi. Bitwa nieco ucichła. Spostrzegłem, że nasi są w tyle i że się znajduję w szczerem polu między Niemcami i Francuzami. Chwila namysłu. Jak mogłem, tak wsunąłem rękę wiszącą pomiędzy guziki płaszcza i pomagając sobie lewą ręką począłem się czołgać w nasze linie. Po długich wysiłkach dostałem się do nich, skąd mnie na noszach odniesiono na tyły. Przypominam sobie, gdy mię niesiono — przechodzono po trupach czarnych od pocisków jak murzyni. Spowodu dużego upływu krwi byłem dłuższy czas nieprzytomny. Po pewnym czasie obudziłem się na noszach w podwórzu pewnego gospodarstwa, gdzie znosili rannych. Miałem pod głową poduszkę, koło mnie klęczała jakaś niewiasta i płakała. Po raz pierwszy na wojnie ogarnął mię jakiś dziwny i dziecinny egoizm. Niedługo później przybyło auto i zanieśli mię do baraków w sąsiedniej wiosce, gdzie chirurdzy z całym wysiłkiem dokonywali operacyj. Leżało tam tysiące umierających rannych. Do chirurgów cisnęli się ranni w nieładzie tak jak się cisną ludzie do konfesjonału. Ponieważ w mej ranie oprócz żelaza były szmaty z płaszcza z ziemią, spodniej westki, koszuli i t. p., więc odczuwałem w ranie okropny ogień. Leżałem pod szopą na noszach jak wielu innych. Już wieczór około 8-mej. Nie mogę czekać aż mię zaniosą, wstaję i jak mogę przebijam stojących przed drugą szopą i cisnę się do chirurga. Kładą mię na deskach, usypiają, rozcinają na mnie wszystkie rzeczy...

(C. d. n.)

— Zanim wejdziecie na Śląsk, uważajcie, by bolszewików w Warszawie nie było — odparował Prusak.

— Bolszewicy będą zmykać przed nami prawie tak gładko, jak wy przed Fochem.

Ja, das haben die Amerikaner gemacht — odpowiedział tamten, trochę zbity z tropu.

— To nie trza było zabijać im dzieci na morzu, jakeście to u nas robili!

— Szkoda, żeśmy ich wam więcej nie zabijali, bo nie wyrośliby z nich zdrajcy, którzy przeszli na stronę wroga! — wystrzelił rozwścieczony Niemiec.

Ale zaraz pożałował tego, co powiedział. Bo słowo »zdrajcy« podziałało na Wiaderkę tak, że gdyby nie siatka, to niewiadomo, co by się było stało z nieszczęsnym synem Germanii.

— Słuchaj Szwabie, — rzekł stłumionym głosem kucharz, zbliżając się ze swą groźną warzęchą jeszcze bardziej do siatki, od której przezorny Niemiec co prędzej odskoczył — wiedz, że jedzie teraz do Polski Armia w sto tysięcy chłopa; ona sobie da rady z waszymi parszywymi kamratami moskiewskimi, a potem obróci się do was, odbierze wam resztę Poznańskiego i Pomorze, a na Śląsku też już nie długo będziecie śmierdzieli. Stul więc, chłopie, jadaczkę i módl się, żebyś jeszcze kiedy mógł poczłapać do twego spranego Vaterlandu — a jak jeszcze jakie słowo wyleci ci z plugawego ozora, to dalibóg, że cię z mojej kuchni ciepłą kolacją poczęstuję — tu Wiaderko zanurzył tak niedwuznacznie swą warzęchę w wielkim kotle, z którego buchał wrzątek, że Niemiec i całe towarzystwo z drugiej strony siatki coprędzej ulotniło się ku niezmiernej wesołości Polaków....

Tak się zakończyła ostatnia bitwa polsko-niemiecka na ziemi francuskiej.

. . . .

Nazajutrz z rana pułk wsiadł do pociągu, który go miał zawieść do Polski.

Na dworcu był już pułkownik i oficerowie polscy i francuscy, którzy wchodzili do pierwszych klas, podczas gdy wiara żołnierska lokowała się w przestronnych wagonach bydlęcych, wymoszczonych hojnie słomą. A były to same wagony niemieckie, odstąpione Francji przez zwyciężonych, więc ironia historii chciała, by polskie wojsko jechało właśnie w takich wozach, opatrzonych napisami: Berlin, Muenchen czy Hamburg. Sprawiało to niezmierną satysfakcję żołnierzom, którzy poczęli kredą malować na zewnętrznych ścianach wagonów orły polskie lub pisać po niemiecku rozmaite aforyzmy, mające Prusakom w przejeździe trochę krew zamieszać. Musieli corychlej wszystko to pościerać, bo oficerowie ostro przypomnieli surowy zakaz wywoływania czemkolwiek burd z Niemcami; nawet pieśni polskich nie wolno było śpiewać między granicą francuską a polską.

Ostatnie gromkie: »Vive la France« i pociąg ruszył ku wschodowi.

Sunął najpierw brzegami Sekwany, a potem wlóczył się na bezkresne równiny Szampanii, tej Szampanii tak dobrze znanej żołnierzom z krwawych walk zeszłorocznych. Jechali teraz przez południową jej część, której wojna nie tknęła, ale tam dalej na północ wrzał ostatniej wiosny straszny bój, w którym młoda armia otrzymała chrzest rycerski. A biła się tam mężnie pod rozkazami sławnego generała Geuraud, kiedy Niemcy w ostatnim paroksyźmie wściekłości parli na Paryż, aż się w pył rozbiła ich potęga o twardy mur piersi bohaterów, broniących stolicy cywilizacji. Żołnierze przypominali sobie pewien piękny dzień wiosenny, kiedy na polach szampańskich otrzymywali z rąk prezydenta Francji sztandary polskie, ofiarowane przez cztery miasta francuskie: Paryż, Verdun, Nancy i Belfort. I nie przynieśli wstydu tym sztandarom, aż przyszła chwila, kiedy mogli je okryte krwią i chwałą zawieść do Ojczyzny.

Minęli potem Marnę, świętą rzekę, co pomściła nieszczęście sedańskie i zdążali ku Mozie i ziemi lotaryńskiej, która rok temu drżała w ogniu armatnim. Był to odcinek armii amerykańskiej, słynny trójkąt Saint-Michielu, reduty broniącej dostępu do Metzu. Przez cztery lata opierała się ona atakom francuskim, aż padła pod furią straszliwych Yankesów.

A pociąg jechał teraz krajem pustynnym, przez który przeszła wojna. Ludzie jeszcze nie mieszkali prawie wśród tych ruin, wśród tych szczątków domostw, parodii siedzib człowieczych. Tu i ówdzie sterczał jakiś kawał wieży kościelnej, jak piszczel trupa, co w godzinę skonu wyciągnął rękę ku niebu, patrzącemu spokojnie na okropności ziemskie. A kiedy pociąg ze świstem przejeżdżał obok tych pomników nieszczęścia, ze szczytów ich zrywały się kraczące chmary czarnego ptactwa...

Pod wieczór opuścili błękitni żołnierze krainę wojny, minęli dawną granicę niemiecką i dotarli do Metzu, nad którym już od pół roku powiewały barwy francuskie. Żałowali, że nie wolno im było wysiąść z pociągów, by obejrzeć przesławną twierdzę, do której ostatniej jesieni wkraczał marszałek Petain na czele zwycięskich wojsk. Po peronie przechadzali się francuscy »poilus«, którym nasi powierzali widokówki do znajomych z prośbą o nadenie ich. Wszak były to ostatnie, które mogli przesłać przyjaciołom, pozostałym we Francji; na drugi dzień mieli się już obudzić w Niemczech.

Ukołysani wrażeniami dnia i kolebaniem pociągu, zasnęli żołnierze twardo na słomie i śpiąc przejechali przez Luxemburg, stolicę nieszczęsnej księżniczki, która w przeciwieństwie do Wandy, »co nie chciała Niemca«, oddała rękę Ruprechtowi bawarskiemu, za co utraciła tron i koronę duchessy.

Wielkanoc ujrzała Polaków w pięknej prowincji nadreńskiej, roześmianej do wiosennego słońca tak wesoło, jakby nigdy nie było żadnej wojny na świecie. Nadrenia znajdowała się wówczas pod okupacją amerykańską i dyszący energją życiową Yankesi dobrze się czuli w bogatym kraju. Zapomniawszy rychło dawnych uraz, pokumali się łatwo z tamtejszym ludkiem, różnym zresztą z gruntu od Prusaków brandenburskich. Dzisiaj zaś, korzystając ze święta, snuli się po rozsłonecznionych drogach, wśród zielonych winnic, z jasnowłosymi pięknymi Niemkami nadreńskimi. Mimowoli przychodziło na myśl, że jeżeli rasa celtycka sięgała aż do Renu, za którym dopiero rozpoczynała się Germania, to dzisiaj pozostały z tego w ludzie tamtejszym niezawodne ślady.

A Amerykanie zagospodarowywali się po swojemu w zajętym kraju. Na każdej większej stacyjce witała błękitnych żołnierzy kantyna gościnnej cioci Imci, która tem szczodrzej przyjmowała żołnierzy, że była to Wielkanoc. Raczono się więc gorącą czekoladą i białą bułką amerykańską i wspaniałymi papierosami. A gdy Yankesi spotkali między przybyszami wielu Polaków z Chicago czy czy z Buffalo, mówiących po angielsku jak rodzinnym językiem, serdeczność ich nie miała granic.

C. d. n.

JAN KOSOBUCKI.

Z wrogich szeregów pod polskie sztandary

W lutym 1918 r., tragicznym roku dla państw tak zwanych Centralnych i przełomowym dla nas Polaków, odzyskujących Niepodległość państwową, został zaciągnięty w szeregi austriackiej armii, najmłodszy rocznik 1900. Wówczas dla wielu nas Polaków w b. zaborze austriackim, była to chwila trudnego położenia. Świadomi własnej sprawy narodowej, w brew też i woli własnej, szliśmy zmuszeni lecz z wiarą, że gdziekolwiek nadarzy się sposobność pokażemy, że jesteśmy Polakami, i że idea walki za cesarza i nasz kraj w pojęciu austriackim jest nam najzupełniej obcą.

Po otrzymaniu przydziału do 16 p. p., mającego wówczas swą kadrę w Nowym Icinie (Morawy), przeniesioną później do Krakowa, wnet nadażyła się nam sposobność przeciwstawienia się Komendzie Armii, albowiem wyczuwając chwilę zbliżającą się do wysłania nas na front włoski, rozpoczęliśmy działanie, zmierzające ku udaremnieniu wysłania nas. Powstał ferment i masowa dezercja.

W odpowiedzi na zaistniały stan, ogłoszono w naszych kompaniach stan doraźny. W tym celu sprowadzono do Krakowa z Wiednia 4 p. p. Deutchmajstrów, zamknięto nas w koszarach w Katowicach, otaczając koszary gęsto posterunkami; za usiłowane opuszczenie koszar groziła kula. Tymczasem grożąc nam zdziesiątkowaniem w tajemnicy czyniono dalsze przygotowanie do wysłania nas na front.

Na dzień przed wysyłką postanowiono odebrać od nas przysięgę wierności w boju i w tym celu wyjątkowo wyprowadzono nas poza obręb koszar, w których tymczasem przeprowadzono rewizję w poszukiwaniu za amunicją. Ceremonia odbierania od nas przysięgi potwierdziła dalsze wrogie stanowisko zajmowane przez nas, albowiem na około 1.200 żołnierzy, słyszeć można było tylko kikadziesiąt głosów powtarzających tekst przysięgi, co było zrozumiałe, ponieważ wśród nas Polaków był pewien procent innej narodowości. Przez cały przeciąg czasu, obok nas stała kompania Deutchmajstrów w pogotowiu, w pełni uzbrojenia. Na drugi dzień, było to w pierwszych dniach czerwca, zarządzono zbiórkę nas, tym razem ostatnią na miejscu, po dokonaniu znowuż rewizii po plecakach i wszędzie, nastąpił wymarsz w kierunku dworca Krakowskiego. Po przybyciu na dworzec, odprowadzeni przez Deutchmajstrów, zaopatrzonych w stalowe hełmy i ręczne granaty, zastaliśmy już dla nas przygotowane wagony, oraz dworzec towarowy, zamieniony na fortecę pełen Deutchmajstrów i karabinów maszynowych gotowych do strzału.

Nastrój był podniecony, padały wrogie spojrzenia. Niedługo zaszedł pierwszy wypadek. Oto jeden z naszych, chcąc podejść bliżej muru, za którym stała grupa miejscowych cywili, został obskoczony dokoła przez Deutchmajstrów z wyciągniętemi rewolwerami, na co zareagowawszy słownie, został przebity z tyłu w nogę bagnetem i odrzucony ku wagonom. Wśród nas zawrzało. Dano sygnał do odjazdu, pociąg ruszył. W tym jadącym w końcowych wagonach, zajmowanych przez 1/40 16 p. p. marszową kompanię ukazał się widok, oto pluton Deutchmajstrów stojący wzdłuż toru gotował karabiny do strzału w kierunku nas. Padła salwa, świst kul przeszył powietrze dziurawiąc wagony, równocześnie z jękiem zwaliły się ciała na podłogę wagonu, zabici zostali 1 podoficer, szef kompanii, plutonowy J. Proszek i 2 szeregowców Chorąży i Stanaszek. Na wszczęty alarm pociąg zatrzymano, nadjechały karetki Czerwonego Krzyża, zabitych wyniesiono z wagonu, przyjechał jakiś generał austriacki. Widząc rozgoryczenie wśród nas, któremu towarzyszyły okrzyki: Hura! Na Deutchmajstrów! Kolbami ich po łbach! — dał rozkaz natychmiastowego odjazdu.

W drodze, przed frontem, spotkawszy się z formacjami, należącymi do 4 p. p. Deutchmajstrów, również zdążającymi na front, natarliśmy na nich, zarzucając ich czym kto mógł. Starcie mogło przybrać poważne rozmiary, gdyby nie nastąpił szybki odwrót Deutchmajstrów. Na froncie zostaliśmy porozdzielani po różnych pułkach, zajmujących pozycje na Monte Cimadore, Monte Cimele i inne w Alpach. Wszędzie w ślad za nami szły karne meldunki i ostrzeżenia; tu też dowiedzieliśmy się od starszych służbą frontową żołnierzy, zwłaszcza Czechów, że na froncie włoskim po stronie Włoch biorą udział w walkach zbiegli b. żołnierze austriaccy, zarówno Polacy, jak i Czesi, tylko nie na tym odcinku.

Wiadomość powyższa sprawiła nam radość większą niż dałyby otrzymane dobre nowiny od naszych rodzin. Postanowiliśmy sobie dążyć do tego, by jak najprędzej znaleźć sposobność przejścia na tamtą stronę. Jakby dla potwierdzenia słuszności zajmowanego stanowiska, w niedługim czasie aeroplany włoskie zarzuciły nasz odcinek odezwami, zredagowanymi w języku polskim przez Polski Komitet Narodowy w Rzymie, o treści obecnie tylko częściowo w pamięci mej zachowanej:

Polacy!

»Okryta przekleństwem prześladowanych narodów, zbutwiała Austria musi się rozsypać w gruzy, ale i was zasypie swym rumowiskiem; wynieście się z walącej się chałupy i przejdźcie do Włoch, gdzie zachowacie zdrowie i życie i t. d.«

Istotnie, po kilku tygodniach nastąpiło ostateczne rozsypanie się Austrii i załamanie frontu, a wielka nas liczba Polaków poszła do Włoch jako jeńcy, lecz całą duszą sprzymierzeni Aliantów, z okrzykiem szczerym na ustach: Vive Italia, Vive Polonia. Poszliśmy po to, by zasilić szeregi armii polskiej, tworzącej się we Włoszech i we Francji.

Z WŁOCH DO FRANCJI

Przyjazd pierwszych oddziałów Armii Polskiej z Włoch do Francji i zetknięcie się nas z kolegami z 1 dywizji, walczącymi już na froncie francuzkim, wywołał nigdy niezapomnianą radość i wzajemny szacunek. Cieszyliśmy się wszyscy i byli dumni, że nasza Armia Błękitna rośnie liczebnie, że jak kto, czym i gdzie mógł dotąd i nadal służy Polsce, życząc tylko sobie, byśmy jak najprędzej mogli się znaleźć w kraju, niosąc pomoc Ojczyźnie.

Z FRANCJI, PRZEZ NIEMCY — DO POLSKI

Wioząc z sobą do kraju różnego rodzaju broń, po wjeździe do Niemiec, postawą swą wzbudzaliśmy zazdrość u Niemców. Już na samej granicy władze wojskowe niemieckie zażądały usunięcia napisów z wagonów: Vive la Pologne, Vive la France, chorągiewek o barwach polskich, oraz domagając się nie śpiewania w czasie przejazdu, motywując to, zachodzącą koniecznością unikania drażnień ludności niemieckiej, której już sam fakt przejazdu Armii Polskiej przez ich kraj mocno się nie podobał. A o tym decydowało tylko zwycięztwo Aliantów. Jednak w niczym nie dostosowaliśmy się do ich życzeń, na wszelkie pogróżki, dość często ze strony cywilów Niemców pod naszym adresem skierowane, odpowiadaliśmy drwinkami. Na osobliwą uwagę zasługiwał fakt, że mimo ziejącej nienawiści ku nam, w różny sposób objawianej, jednak część ludności wzdłuż całych Niemiec wyciągała ręce ku nam, prosząc o chleb, po polsku, słowami: »Panie, chleba«. Widocznie ażeby prędzej trafić nam do uczuć, słów tych po polsku się nauczyli. Żołnierze zaś pełniący służbę po stacjach, obawiając się swych przełożonych, tylko ukradkiem, przeważnie pod osłoną zmroku, podchodząc ku nam, o chleb prosili.

Dumni z natury szlachetnej, wrodzonej narodowi polskiemu, by pokazać swą niefałszowaną kulturę, w takich wypadkach oddawaliśmy posiadaną przez nas żywność, pomimo słusznych uwag ze strony oficerów Francuzów: »Wy im dajecie chleb, a oni wam dają bomby i granaty«.

WJAZD DO POLSKI

Stanąwszy wreszcie szczęśliwie na ojczystej ziemi w Poznańskim, witani serdecznie przez ludność, pełną entuzjazmu dla Polski wyzwolonej wspólnemi siłami, zastaliśmy dalszy stan bojowy, bo oto Niemcy głodne, pozbawione zaboru, stale urządzali napady, z czym miejscowa ludność dostatecznie dawała sobie radę, godząc się z tym, że wojska są potrzebne na innym froncie, t. j. pod Lwowem, gdzie też i my podążyliśmy spełnić swój obowiązek.

Pieśń, śpiewana na nutę Marsylianki, przez Armię Polską we Francji

Nam nie straszne Karole, Wilhelmy,
Choć za rzezią wyprawiają rzeź.
Ludu polski sztandar biało-czerwony,
Ludu polski swój sztandar w górę wznieś.

Biada wam krzyżaccy żołdacy,
My za wolność idziemy na bój,
Na bój, na krwawy bój,
Hej Polsko, zbrój się, zbrój!

Oto Kalisz prastary, zburzony,
Zburzyła go niemiecka dłoń,
Więc na alarm uderzamy do broni,
Dalej bracia do broni, na koń.
Biada wam krzyżaccy żołdaccy i t. d.

Jan Kosobucki, kapral rez.
Borek Fałęcki, pow. Kraków
czł. Stow. Wet. b. Armii Pol. we Francji
placówka Kraków-Wawel.

Prenumeratorów „Błękitnego Weterana” prosi redakcja o punktualne wpłacanie prenumeraty na konto P. K. O. Zarządu Głównego Stow. № 21.640.
Prenumerata czasopisma jest, zgodnie z uchwałą V Walnego Zjazdu Delegatów Stowarzyszenia, obowiązkiem organizacyjnym każdego członka Stowarzyszenia. Zarząd Główny przypomina Kolegom o tej uchwale powziętej jednomyślnie!!!

WACŁAW WIEŃCZYSŁAW PIOTROWSKI.

Nowy Rok w okopach francuskich

Ciszal Śnieg białą, cienką warstwą przypruszył wzgórza Szampanii. Cisza uroczysta. Niezwykła.

Szary mrok gęstą masą spadł na ziemię i zasnuł tajemniczością białe nasypy okopów, wijące się zygzakiem uliczki „transportów" francuskich, małe otwory strzelnic na gardach i tamten naprzeciwko nogi skrawek gaju, odarty, połamany przez granaty i szrapnele — rysujący się smutnie we dnie, przed natężonym wzrokiem — stojącego na pikiecie legionisty polskiego.

Tam naprzeciwko nas siedzi zaczajony — ukryty — wróg. Tam czycha śmierć...

Bzz... tssynk... ppach... Kulka wpadła w miękki nasyp okopu — jęknąwszy w powietrzu długo, przeciągle, fałszywym półtonem — jak mistyczny owad śmierci.

I znów cisza śmiertelna.

W okopach pusto. U strzelnic zamarł wartownik nieruchomy. Karabin w ręku — bagnet na lufie zatknięty.

Cisza.

Z nor wyrytych w ziemi błyśnie czasem nagle cienki, blady promyk i jakby przestraszony niknie...

Czasem śnieg miekki zaskrzypi pod stopą, okutą ćwiekami. To miarowym krokiem stąpa szyldwach.

— Psst!... Cyt!...

Tam — kędyś z tajemniczego mroku — daleki — daleki gwar dolata, jakby przechodzącego obozu turkotanie...

Wyrywa się gwar muzyki — uderzy falą dźwięków i cichnie — cichnie stopniowo, jak dalekie brzęczenie komara...

„Wacht am Rein..."

To Niemcy..

„Wacht am Rein" — to ich orkiestra — tam za granicą z okopów i bagnetów...

Umilkła..

I znowu cisza tajemnicza, badawcza, nieusypna a stróżliwa jak żóraw...

Za pół godziny — dwunasta. Za pół godziny Nowy Rok..

Rok wielkiej wojny — krwawy rok..

Stoją na warcie w wysuniętej szyi okopów, zwanej przez Francuzów „petit poste".

Obok mnie kolega, oparty o ścianę okopów, drzemie...

Cisza..

Myśl, zmęczona czuwaniem, uciekła — kędyś, od rzeczywistości daleko. Tam — do kraju.. Do Polski..

— Cyt...

Kędyś po za mną — z nor zakrytych zazdrośnie plecionką ze słomy i starych worków, nagle wyrwał się z pod ziemi chór głosów urwany...

„Bóg się rodzi — moc truchleje..."

I cisza. A potem —

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz

I dzieci nam germanił.."

Pieśń przycichła. Ktoś starannie przykrył otwór jamy, skąd pieśń ta wymknęła się. A z przeciwka natomiast szumniej, huczniej uderzyły znów dźwięki orkiestry niemieckiej. Przebiegły przez pola i popełzły kędyś, przez okopy, w dal poza nami, jak fantastyczne zyjątka..

Przemęczone nerwy szarpnęły się, zadrżały gniewem.

— Psie krwie!..

I znów zamarły w czuwaniu, w wytężeniu ciszy... Myśl znów pobiegła w marzenia, rojąc cudowny kalejdoskop wspomnień.

„..Nowy Rok... uśmiechnięte twarze.. powłóczyste spojrzenia... dotknięcie dłoni, miekkie, kochane...

O Boże!...

Gwizdnąłem cicho — bo mię tęsknica złapała za pierś i zaczęła w sercu nieznośnie skowytać.. Szarpnąłem kolegę za rękaw munduru.

— „Nie śpij..."

Ziewnął. Wstrząsnął się od zimna.

— „Brr.."

— „Długo tam jeszcze?"

— Za pięć minut dwunasta — Nowy Rok...

— „Nowy Rok..." Jak echo powtórzył i westchnął. A po chwili.

— „Pamiętasz? Było to w roku..."

— „Idź do licha... Nie wywołuj.. Dość mam... Zostaw mnie..."

— „Ba!" westchnął znów.

I znów cisza zaległa tajemnicza, jak w ów czas niebytu, gdy życie nie istniało na ziemi — przed stworzeniem.

Wtem — ogromny snop światła wyleciał nagle nad milczące nieprzyjacielskie okopy — ku ciemnym stropom niebios, aż zagasły lśniące się gwiazdy naraz...

Schwyciłem za broń. Szczęknął zamek od karabinu, wetknąłem lufę w otwór strzelnicy.

— Trrrach.. trach... pa-pa-pach...

Zagrała salwa karabinowa.

Światło rakiety rozprysnęło się deszczem złotawych węży i iskier i zgasło... Ostatnie echo umilkło, błąkając się w labiryncie okopów. A potem cisza znów zapanowała na polu śmierci.

Takie było spotkanie Nowego Roku 1915 go.

Podaliśmy, wzajemnie wyciągając ku sobie w milczeniu, dłonie.

Domyśliłem się szeptu kolegi.

— „W Polsce..."

A po chwili rozległo się w głębi okopów — w mroku — stąpanie i chrzęst śniegu.

— Halte la! (kto idzie) „Parol!" syknąłem.

— „Warszawa"! Odpowiedziano szeptem w ciemności. Zmiana warty. Szczęknęły zdejmowane bagnety z luf karabinów.

— „Dosiego Roku!"

— „Dajcie gęby bracia".

— „W Wolnej Polsce..." szeptała zmieniająca się warta. W krótce potem wpełzliśmy z kolegą do „cabany" — nory wyrytej w ziemi kredowej w Szampanii i nie rozbierając się zasnęliśmy snem kamiennym, na zbutwiałej, wilgotnej słomie

W. W. Piotrowski
m. Skidel pow. Grodzieński
Zarząd Miejski — Burmistrz

ANTONI KUCZYŃSKI

Austriacki siennik

Obóz dla jeńców w S-ta Maria (Capua Vetere), do którego dostałem się wraz z innymi rodakami w listopadzie 1917 roku, był z początku obozem naprawdę »austriackim«. Mieścił bowiem w sobie całą mozaikę narodów, zamieszkujących b. monarchię Habsburgów.

To też od rana do późnego wieczora, w tym zbiorowisku jeńców wojennych, rozbrzmiewały różne języki polski, ruski, czeski, węgierski, rumuński, chorwacki i t.p stna wieża babel. Nie brakowało oczywiście tam i języka handlowego, którym posługiwali się synowie Izraela.

Cała ta »rzesza« narodów mieściła się w trzydziestu dziewięciu barakach. W każdym baraku znajdowało się kilkadziesiąt miejsc do spania. Był jeszcze jeden »barak«, numer czterdziesty, ale ten mieścił się poza wysokim murem, okalającym obóz, i do niego odprowadzali uroczyście Włosi tylko »zasłużonych« jeńców na bardzo niemiły pobyt, — przez piętnaście dni o chlebie i wodzie

Ale nie o tym chcę pisać.

Przypominam sobie pewien epizod z tego czasu, gdy na skutek starań naszej garstki, prowadzącej propagandę na rzecz wojska polskiego, a działającej na terenie obozu S-ta Maria, Polski Komitet w Rzymie wszczął akcję u władz włoskich, w której wyniku ewakuowano obóz z różnych narodowości, z wyłączeniem Polaków. »Nasi« nie chcieli nas opuścić i również pozostali w S-ta Maria.

I oto, co się zdarzyło. Z chwilą, gdy nasza garstka zamieniła czapki austriackie na maciejówki, na których, z prawej strony umieściliśmy znaczek biało czerwony — w obozie zawrzało.

Pomimo, że zamieszkiwaliśmy w osobnym baraku, strzeżeni przez karabinierów, sytuacja nasza nie była przyjemna...

Przez obóz szedł pomruk:

— Zdrajcy Austrii będą wisieli

— Precz z polskim wojskiem!

Te okrzyki nie były dla nas niespodzianką.

Biedny, ciemny, zahukany chłop galicyjski nie zdawał sobie sprawy z tego, co wykrzykuje. Bezkrytycznie dawał posłuch bredniom i plotkom, szerzonym przez spodlałe w wiekowej niewoli zaborczej typy. A najwięcej bruździli przeciwko nam starzy c. i k. feldfeble oraz czarno-żółci patrioci mojżeszowego wyznania.

Pewnego, szczególnie ciemnego wieczoru, byłem przypadkowo słuchaczem następującego urywka, prowadzonej przez nieznanych mi osobników, rozmowy:

— »Panie feldfebel, mi muszimy coś zrobycz na tych zdrajców«.

— Tak. Ale co?

»Mi muszimy pokazywać co mi jeszteszmi wierni Austrii. I ni zrobiuli taki szkandal, zrucili honczki z czapki i teraz noszą weis-rot, to mi bedziem nosić schwarz-gelb«.

— A skąd weźmiemy materjału na kokardki?

— »Uwa! Ja to mogi zrobić. Ale pan feldfebel da befehl żebi wszyscy te znaki mieli«.

Dalszego toku rozmowy nie słyszałem.

W kika dni potem, spostrzegliśmy u znacznej części obałamuconych rodaków na czapkach czarno-żółte kokardki.

Zachodziliśmy w głowę, skąd u licha nasi przeciwnicy nabyli potrzebną do kokardek materię czarnego i żółtego koloru. Obóz bowiem był ściśle izolowany i bez wiadomości i zezwolenia komendanta włoskiego niemożliwością były jakiekolwiek zakupy w mieście S-ta Maria.

I bylibyśmy może nigdy nie dowiedzieli się w jaki sposób sfabrykowano w obozie jeńców austriackie kokardki, gdyby tym faktem nie zainteresowali się sami Włosi. My bowiem nie przywiązywaliśmy do tego wielkiego znaczenia.

Bez trudności dowiedziano się, że kokardki porobił i po pięć centimów za sztukę sprzedał niejaki Mojsze Eierschwanz rodem ze Złoczowa.

Ale skąd Eierschwanz nabył czarno-żółtą materię?

Tego żydek nie chciał powiedzieć, a Włosi, nie nalegając zbytnio na Eierschwanza celem wydobycia zeznań, machnęli na to ręką, tym bardziej, że przy rewizji osobistej u żydka nic podejrzanego nie znaleziono.

Zdawało się, że w ten sposób cała sprawa została ostatecznie załatwioną. Tymczasem w kilka dni później pękła bomba.

Przy sporządzaniu spisu przedmiotów, znajdujących się w barakach, Włosi w żaden sposób nie mogli doliczyc się jednego siennika. Brakowało go właśnie w baraku zamieszkiwanym przez Eierschwanza.

Włochom zaświtało w głowie. Sienniki były sporządzone z pięknej materii w różnokolorowe pasy, a kokardki czarno-żółte były tak łudząco podobne do niektórych z nich.

Mojsze Eierschawnza przyparto do muru. Chcąc nie chcąc, żydek złoczowski ze »skruchą« przyznał się do pocięcia »austriackiego« siennika, tłumacząc się:

— »Un buł Oestereich, miał taki ładne czarno-żółte pasy, to ja miszlałem co un będzi w sam raz na znaki«.

— A skąd miałeś siennik w czasie pierwszej rewizji — pytano

— »Na ten czas dobre kamraty mi inny pożyczyli«.

I tak, niewielkim kosztem, Mojsze Eierschwanz stał się »męczennikiem« za sprawę Austrii, odsiedziawszy w czterdziestym »baraku« piętnaście dni o chlebie i wodzie.

Z ŻYCIA STOWARZYSZENIA

Zatwierdzenie nowych Placówek

Prezydium Zarządu Głównego na mocy uchwały z dnia 28. XII. 1936 r., zatwierdza **Zarząd Placówki w Czortkowie**, wybrany na Zebraniu Konstytucyjnym w dniu 15 listopada 1936 r. w składzie następującym:

1) Prezes Wojciechowski Stanisław
2) Wiceprezes — Janiszewski Stefan
3) Sekretarz — Poldmaus Naftali
4) Skarbnik — Turyniewicz Ludwik
5) Członek Zarządu — Buczkowski Jan
6) Zastępca — Derij Jan
7) „ — Iłowski Michał

Komisja Rewizyjna:
1) Przewodniczący — Mahler Józef
2) Członek — Korczyński Michał
3) „ — Albrecht Józef
4) Zastępca członka — Fedorowicz Jan

Prezydium Zarządu Głównego, na mocy uchwały z dnia 25.VII 1936 r. zatwierdza **Zarząd Placówki Gniezno**, wybrany na Walnym Zebraniu w dniu 14.III 1936 r. w składzie następującym:

1) Prezes — Sołtysiak Ignacy
2) Wiceprezes — Konwiński Walenty
3) Sekretarz — Jeliński Heronim
4) Skarbnik - Ulatowski Stefan
5) Chorąży — Fras Teofil
6) Członek Zarządu — Zajdowicz Stanisław
7) „ „ — Słupianek Stanisław

Komisja Rewizyjna:
1) Przewodniczący — Kondela Stanisław
2) Członek — Ławniczak Stanisław
3) „ — Robaczkiewicz Michał

Prezydium Zarządu Głównego, na mocy uchwały z dnia 8.XI 1936 r. zatwierdza **Zarząd Placówki Brody**, wybrany na Zebraniu Konstytucyjnym w dniu 18 października 1936 r. w składzie następującym:

1) Prezes — Sierżant Franciszek
2) Wiceprezes — Galanty Michał
3) Sekretarz — Kujawiński Czesław
4) Skarbnik — Wiśniowski Michał
5) Członek Zarządu — Westler Kiwe
6) „ — Mikołajewicz Stanisław
7) Zast. Członka — Buczek Michał
8) „ „ — Dołyniak Michał

Komisja Rewizyjna:
1) Przewodniczący — Sarnecki Klemens
2) Członek — Brejczuk Ludwik
3) „ — Wierzbowski Karol
4) Zastępca członka — Szymański Bronisław

Prezydium Zarządu Głównego, na mocy uchwały z dnia 2.X 1936 r., zatwierdza **Zarząd Placówki w Rybniku**, wybrany na Zebraniu w dniu 9.VIII b. r. w składzie następującym:

1) Prezes — Chwałek Franciszek
2) Wiceprezes — Przybyła Wilhelm
3) Sekretarz — Macioszek Wilhelm
4) Zast. Sekretarza — Pawletko Józef
5) Skarbnik — Kuna Wincenty
5) Członek Zarządu — Halama Ludwik
7) „ „ — Morys Roman

Komisja Rewizyjna:
1) Przewodniczący — Kaczmarek Czesław
2) Członek — Kuna Wincenty
3) „ — Bober Franciszek
4) „ Bytomski Alojzy
5) „ — Mazurek Edmund

Prezydium Zarządu Głównego, na mocy uchwały z dnia 2.XII r. b zatwierdza **Zarząd Placówki Lublin** w następującym składzie:

1) Prezes — Płk. Wacław Świętochowski — ul. Szopena 10
2 Wiceprezes Red. Wacław Machnicki — ul. Narutowicza 22
3) Sekretarz - Leon Piwkowski — ul Radziwiłowska 3
4) Skarbnik - Jan Maciejewski — ul. Peowiaków 1

Członkowie Zarządu:
1) Stanisław Maternowski — ul. Peowiaków 6
2) Inż. Rudlicki — Fabryka Plage-Laśkiewicz
3) Stefan Dymidas — ul. Żelazna 2 m 46
4) Józef Kulka — Krak. Przedm 46
3) Władysław Filipowski — A. Długosza 2

Jednocześnie na mocy uchwały z tegoż samego dnia Prezydium Zarządu Głównego mianuje Zarząd Placówki w Lublinie — w wyżej wymienionym składzie — tymczasowym Zarządem Okręgu Lubelskiego.

Prezydium Zarządu Głównego Stowarzyszenia, na mocy uchwały z dnia 14.XII 1936 r., zatwierdza **Zarząd Placówki Łomża**, wybrany na Zebraniu Konstytucyjnym w dniu 8 listopada 1936 r. w składzie następującym:

1) Prezes - Lipiński Aleksander
2) Sekretarz — Dziemiński Stanisław
3) Skarbnik Szczytkowski Jan
4) Członek Zarządu — Narewski Stefan
5) „ „ - Jastrzębski Adam
6) „ „ - Duchnowski Franciszek

Prezydium Zarządu Głównego Stowarzyszenia, na mocy uchwały z dnia 14. XII 1936 r., zatwierdza **Zarząd Placówki Konin**, wybrany na Zebraniu Konstytucyjnym w dniu 2. VIII 1936 r. w składzie następującym:

1) Prezes — Malecki Feliks
2) Sekretarz — Bratwa Kwiryn
3) Skarbnik — Andrzejewski Jan

Prezydium Zarządu Głównego zatwierdza tymczasowy **Zarząd Placówki w Mławie** wybrany na Zebraniu organizacyjnym w dniu 3 stycznia 1937 r. w składzie następującym:

1) Prezes — Komorowski Mieczysław
2) Wiceprezes — Welens Jan
3) Sekretarz — Wegner Wincenty
4) Skarbnik Kuchciński Jan
5) Członek Zarządu — Moszczyński

Prezydium Zarządu Głównego, uchwałą z dnia 28.XII 1936 r., zatwierdza **Zarząd Placówki w Równem**, wybrany na Walnym Zebraniu w dniu 20 grudnia 1936 r. w składzie następującym:

1) Prezes — Miliński Andrzej — Równe, ul. Dolna 16
2) Wiceprezes - Trewel Rudolf — „ „ Głęboka 31
3 Sekretarz Wilczyński Emil — „ Młynowska 10
4) Skarbnik - Szewczyk Józef — „ Żeromskiego 22
5) Członek Zarz - Podstawski Władysław ul. Sobieskiego 8

Komisja Rewizyjna:
1) Przewodniczący — Waruszczak Michał
2) Członek — Czajkowski Leon
3) „ — Rosadziński Stanisław
4) Zastępca Członka — Grabowski Franciszek

Uroczystości Stowarzyszenia Weteranów b. Armii Polskiej we Francji w Częstochowie

(Według »Głosu Częstochowskiego« z dnia 9 21.XII 1936 r.)



Uczestnicy uroczystości zebrani u stóp Jasnej góry.

Dnia 20 XII 1936 r. o godz. 12 w południe w lokalu Towarzystwa Przyjaciół Francji w Częstochowie odbyła się uroczystość wręczenia dyplomów uznania nadzwyczajnym członkom Stowarzyszenia Weteranów b. Armii Polskiej we Francji, wybitnym członkom miejscowej kolonii francuskiej dyrektorom Henrykowi Stalensowi i Edwardowi Roederowi za owocną pracę dla Stowarzyszenia i ofiarną opiekę nad jego członkami. Dyplomy te zostały im przyznane na odbytym w dniach 13 i 14 września b. r. ogólnopolskim zjeździe delegatów Stowarzyszenia we Lwowie.

Na tę sympatyczną uroczystość, ktora przekształciła się w manifestację nierozerwalnych węzłow, łączących sojusznicze narody Francji i Polski, przybył z Warszawy prezes zarządu głównego Stowarzyszenia Weteranów b. Armii Polskiej we Francji minister Wielowieyski, generalny sekretarz zarządu głównego Czesław Uhma i prezes okręgowego zarządu Zagoła z Sosnowca.

Sprężone na baczność poczty sztandarowe Stowarzyszenia Weteranów i Związku Powstańców Górnośląskich podkreśliły niecodzienny charakter uroczystości.

Zebranie zagaił w krótkich słowach prezes miejscowej placówki p. Antoni Merkwa, poczym głos zabrał minister Wielowieyski (Przemówienie to podajemy w całości osobno).

Z kolei bardzo piękne i podniosłe przemówienie wygłosił prezes miejscowej kolonji francuskiej oraz miejscowej placówki byłych kombatantów francuskich dyr. Couturon, wymownie podkreślając wieczystość węzłów, łączących dwa narody, węzłów, które spokojnie mogą wytrzymać najcięższe próby dziejowe i stanowią najpewniejszą gwarancję pokoju Europy i świata.

W pełnych serdecznego sentymentu słowach dyr. Couturon scharakteryzował stosunek »pięknej, wspaniałej« gościnności polskiej do zamieszkujących tu i pracujących Francuzów, ktorzy też z wdzięczności za to starają się wiernie służyć swej przybranej Ojczyźnie. Obaj zaszczytnie wyróżnieni na dzisiejszej uroczystości pp. Stalens i Roeder, z których pierwszy zamieszkuje w Częstochowie od lat 40, drugi zaś od 27, pomni swych obowiązków względem Polski, zawsze gorliwie brali udział we wszelkich poczynaniach społecznych na miejscowym terenie.

Końcowy okrzyk na cześć Polski spotkał się z gromkim entuzjastycznym odzewem.

Następnie min. Wielowieyski wręczył obu wyróżnionym dyplomy uznania. W bardzo serdecznych słowach przemówili dyrektorowie Stalens i Roeder, dziękując za zaszczytne wyróżnienie i ślubując dozgonne wierne służby Polsce.

Ostatni przemawiali prezes zarządu powiatowego Powstańców Górnośląskich, radny miejski Porada i prezes Zagoła z Sosnowca, podnosząc zasługi obu dyrektorów na polu polsko-francuskiego zbliżenia.

Obaj wyróżnieni z okazji uroczystości złożyli po 100 zł. na Pomoc Zimową Bezrobotnym.

Po zakończeniu uroczystości w lokalu Federacji przy ulicy Al. Kościuszki 10, odbył się skromny obiad koleżeński.

Należy podkreślić obecność czcigodnego weterana powstania 1863 roku ppor. Jędrzejkiewicza oraz udział dzieci członków Stowarzyszenia, które z całym urokiem dziecięcej bezpośredniości i szczerości recytowały wierszyki okolicznościowe. Była w nich mowa i o tym, czym jeszcze do niedawna była Polska i czym jest dziś i o niezmiernych trudach i walkach jej żołnierzy minionych dni, którzy w głodzie i chłodzie i ciężkiej poniewierce przedzierali się ku wolnej Polsce.

Przemówienie Prezesa Wielowieyskiego w Częstochowie

Łaskawe Panie, Szanowni Panowie, Kochani Koledzy,

Jak to już Prezes tutejszej placówki podkreślił w swym zagajeniu, zgromadziliśmy się, by uroczyście wręczyć dyplomy uznania, które na mocy uchwały Walnego Zjazdu Delegatów we Lwowie w dniu 14 września 1936 roku otrzymują Panowie: Dyrektor Stalens i Roeder.

Uroczystość ta jest właściwie uroczystością lokalną, tymniemniej uważaliśmy z kolegą Uhmą, sekretarzem generalnym naszego Stowarzyszenia, iż ma ona również i swój charakter ogólny, który swym przyjazdem i osobistym wręczeniem dyplomów chcieliśmy imieniem Zarządu Głównego podkreślić.

Momentów tych jest trzy.

Pierwszym przede wszystkim jest uczucie religijne i narodowe. Częstochowa jest naszą stolicą duchową, uświęconą przez Królową naszą Matkę Boską Częstochowską. Dbamy więc o to, by każda nasza, błękitnych żołnierzy, uroczystość odbywająca się na tutejszym terenie nosiła charakter jak najbardziej poważny i świetny.

Po wtóre, i chcę to bardzo usilnie podkreślić, uroczystość dzisiejsza to dowód tak niezmiernie cennego dla nas solidaryzmu społecznego. Koledzy nasi na tutejszym terenie, to przeważnie świat robotniczy. Ci, których nasz Zjazd Delegatów na wniosek tutejszej placówki tak wyróżnił, to dyrektorowie fabryk, a więc przedstawiciele wielkiego kapitału. Ta harmonia to zobopólne zrozumienie, ten solidaryzm społeczny, który krajowi naszemu tak zalecał wielki nasz Marszałek, Józef Piłsudski, na tutejszym terenie został świetnie zrealizowany i może i powinien służyć innym za przykład.

Po trzecie, wyróżniani dziś dyrektorowie Stalens i Roeder to Francuzi. Poza więc solidaryzmem społecznym jest tu przykład solidaryzmu dwóch sojuszniczych Narodów, solidaryzmu nam, błękitnym żołnierzom, wyjątkowo cennego i o który każdy z nas z samej choćby naszej błękitnej tradycji dba i dbać winien.

(Zwracając się do p. p. dyr. Stalensa i Roedera prezes Wielowieyski, po francusku powiedział (tłumaczenie):

Wiem, że Panowie doskonale rozumiecie po polsku, chcę jednak w tej uroczystej chwili przemówić do Was, Kochani Koledzy, w waszym macierzystym języku. Prezes Merkwa w swym zagajeniu podkreślił wybitne Wasze zasługi dla nas, nie będę się więc powtarzał. Wiecie dobrze, że z całego serca Wam jesteśmy wdzięczni.

Chcę jednak podkreślić te momenty, które nas z Wami jeszcze specjalnie łączą. Pan, Panie Stalens brał Pan udział w naszym powstaniu na Śląsku, jest to jeden jeszcze fakt więcej, iż wzajemnie, my Polacy i Wy, Francuzi, możemy sobie powiedzieć, że dla nas hasła o naszą i Waszą wolność nie były czczym frazesem ale krwią pisaną rzeczywistością.

Pan, Panie Roeder jako Alzatczyk, który w czasie światowej wojny zmuszony byłeś przywdziać pruski mundur, doskonale rozumiesz nasze dusze, gdyż przeszedłeś przez to samo rozdarcie Ojczyzny, które nas tak długo i tak boleśnie trapiło.

Wyrażam Wam, Kochani Koledzy, całą naszą wdzięczność, całe nasze uznanie i wznoszę okrzyk na cześć tego, co jest największym Waszym umiłowaniem. Niech żyje Francja.

Opłatek członków Placówki w Turce n. Str.

Placówka Stow. Wet. b. A. P. we Francji w Turce n. Str. (woj lwowskie), jakkolwiek niedawno zorganizowana, liczy obecnie 23 członków rzeczywistych i wykazuje dużo żywotności. Staraniem prezesa placówki kol. Franciszka Drobika (przedwoj. harcerza i skauta) dokonano w Turce n. Str. sfederowania miejscowych Związków Kombatanckich.

Obecnie w dniu 17 b. m. z inicjatywy prezesa placówki, który jest równocześnie prezesem lokalnego Koła b. skautów, po porozumieniu się z prezesem świeżo założonego Zw. b. Ochotników A. P. kol. J. Korczyńskim urządzono tu po raz pierwszy koleżeński »Opłatek«, który zgromadził ponad 100 osób, w czym wielu pozamiejscowych.

Zebranych powitał w żołnierskich słowach prezes kol. Drobik i zaapelował do solidarnej pracy dla dobra Rzeczypospolitej, która jest wspólnym dobrem wszystkich Obywateli, po czym wszyscy zasiedli do stołu, dzieląc się wspólnie opłatkiem. Następnie obecny ks. prof. Kaczorowski w nader pięknym przemówieniu podkreślił znaczenie uroczystości, wyrażając pełne zadowolenie ze zjednoczenia się tut. związków kombatanckich, kontynuowanie przez tut. Weteranów A. P. dalszej pracy nad ugruntowaniem Niepodległości Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Wśród zebranych przez cały czas panował nader miły i koleżeński nastrój, przeplatany śpiewem, przemówieniami i toastami.

Z obecnych Związek Strzelecki reprezentował prezes Pow. Zw. Strzel. insp. szkolny p. J. Kwiatkowski, i kmndt. pow. p. S. Gałan, zaś Związek Legionistów reprezentował dyr. tut. gimn. p. Pacuła.

Po opłatku odbyła się zabawa taneczna, która przeciągnęła się do późnej nocy.

Fr. Drobik
Prezes



Grupa członków Placówki Stow. w Turce n/Str. przy opłatku. Prezydium Zarządu Placówki.



Uczestnicy uroczystości Opłatka Placówki w Turce n/Str.

Krótki zarys powstania i rozwoju Placówki w Łucku

Powstanie Placówki na terenie m. Łucka zawdzięczać należy kolegom Salwetowi, Hajdukowi i Kmiecikowi. Jako pierwsi, wyczytawszy z notatek prasowych o istnieniu Stowarzyszenia Weteranów b. Armii Polskiej we Francji z siedzibą w Warszawie, zwrócili się do Zarządu Głównego o informacje. Natomiast rozwój działalności Placówki bezsprzecznie winniśmy koledze W. P. Czarkowskiemu Janowi i sekretarzowi Nawrocikowi Józefowi.

Na Zebraniu Organizacyjnym w dniu 18.VIII.1935 r. został wybrany tymczasowy Zarząd, w skład którego weszli: kol. Jan Czarkowski — prezes, Nawrocik Józef — sekretarz, Lewandowski Jan — skarbnik.

Wybór tymczasowego Zarządu Zarząd Główny zatwierdza. Po ukonstytuowaniu się władz Placówki i ich legalizacji skarbnik i sekretarz zaopatrują się w potrzebne przybory kancelaryjne z własnych prywatnych funduszów, bez zwracania się do kolegów celem pokrycia tych wydatków.

Od stycznia 1936 r. przychodzą nowe zadania; następuje zapał propagandy, przybywają nowi członkowie. Zasługuje tu na uwagę praca kolegi Nawrocika. Sekretarz Placówki ponosi wiele trudu w pracy, mimo iż stan zdrowia mu nie dopisuje, nawiązuje łączność z dowództwem 13 dywizji, dowództwem 13 pułku kresowej artylerii w Równem, dowództwem 43 pułku piechoty Bajończyków w Dubnie, dowództwem 24 p.p. w Łucku. Po za tym na terenie m. Łucka wspólnie z kolegą Czarkowskim oraz ze skarbnikiem Lewandowskim obchodzą urzędy państwowe, samorządowe i instytucje prywatne, informując o istnieniu i działalności Placówki Łuck, składają Jego Eminencji ks. biskupowi d-wi Adolfowi Szelążkowi podziękowanie za serdeczne ustosunkowanie się do byłych żołnierzy błękitnych. Pod ich i skarbnika kierownictwem Placówka rozwija się, bierze udział w różnych imprezach, uroczystościach i defiladach. Placówka ma również kilku bezrobotnych, przeprowadza weryfikację swych członków, zgłosiła formularze do odznaczeń. Zaproszona przez Komitet Ligi Morskiej i Kol. do wzięcia udziału w propagandzie — bierze udział aktywny. Z inicjatywy kolegi J. Nawrocika zebrani w dniu 5 lipca 1936 r. zadeklarowali jednorazowo według własnego uznania składkę na Fundusz Obrony Narodowej: razem zebrano **51 złotych**, którą to kwotę przekazano Zarządowi Głównemu z wnioskiem o przekazanie wyżej wymienionej kwoty Generalnemu Inspektorowi Sił Zbrojnych. Placówka liczy 47 członków.

Z rozkazu Zarządu Głównego został utworzony Okręg Wołyński Nr. VIII. Funkcje tymczasowego Zarządu Okręgu pełni Zarząd Placówki, obecnie tymczasowy Zarząd Okręgu, który robi usilne starania celem utworzenia Placówki na terenie miasta Kowla.

Organizacja nowych placówek

W dniu 3 stycznia b. r. Zarząd Okręgu Warszawskiego wydelegował sekretarza Okręgu kol. Cebulę Władysława do Mławy celem zorganizowania tam samodzielnej Placówki Stowarzyszenia.

Delegat zwołał organizacyjne zebranie, na które przybyło 34 kolegów z Mławy i okolicy. Po omówieniu ideologii i celu Stowarzyszenia, zebrani postanowili utworzyć Placówkę w Mławie, wybierając tymczasowy Zarząd w składzie:

prezes kol. Komorowski Mieczysław
wprezes „ Węlens Jan
sekretarz „ Wegner Wincenty
skarbnik „ Kuchciński Jan
czł. Zarz. „ Moszczyński Jan

Zebrani koledzy wyrazili szczere chęci do pracy w szeregach Stowarzyszenia. Mając na tamtejszym terenie wszelkie dane do utworzenia silnej, tak liczebnie jak i organizacyjnie, samodzielnej Placówki i znając energię oraz zapał kolegów z tymczasowego Zarządu, mamy nadzieję, że w najbliższym czasie Placówka Mławska stanie na równi z innymi, choć dawniejszymi, Placówkami Stowarzyszenia.

Redakcja »Błękitnego Weterana« życzy kolegom w Mławie owocnej i pomyślnej pracy.

W organizacji, przez Okręg Warszawski, jest również Placówka w Ciechanowie, gdzie jeszcze w b. miesiącu zostanie zwołane organizacyjne zebranie.

„Dzień Oszczędności Kombatanta" w Poznaniu

W dniu 6 grudnia b. r., z inicjatywy Zarządu Głównego Federacji P. Z. O. O., odbył się zorganizowany przez poznańską Federację Grodzką na terenie tutejszym »Dzień Oszczędności Kombatanta«. Uroczystość ta odbyła się przy bardzo licznym udziale związków sfederowanych w Hali Ciężkiego Przemysłu na terenie powystawowym.

Po zagajeniu uroczystości przez prezesa Federacji Grodzkiej kpt. Głowackiego, posła na Sejm, przemówił prezydent miasta Poznania płk. Więckowski, witając serdecznie wszystkich zgromadzonych na sali uczestników, po czym dłuższe przemówienie na temat oszczędności i ubezpieczenia zainicjowanego przez Zarząd Główny Federacji, wygłosił jej prezes gen. bryg. dr. Roman Górecki. Przemówienie to zostało przez zgromadzonych przyjęte z wielkim entuzjazmem.

Po rozdaniu przez p. gen. Góreckiego Złotych Krzyżów federacyjnych oraz dyplomów zasłużonym członkom związków kombatanckich w Poznaniu, odbyła się defilada przed Pomnikiem Wdzięczności, którą odebrał gen. Górecki.

Bezpośrednio po defiladzie, nastąpiło poświęcenie i otwarcie Gospody Kombatanckiej przy Alejach Marcinkowskiego 1a. Gospoda ta, założona z inicjatywy gen. Góreckiego, wydaje m. in. bezpłatne obiady dla kombatantów, pozbawionych pracy i prowadzona jest na wzór warszawskiej gospody federacyjnej.

Z naszej organizacji otrzymali Złote Krzyże federacyjne kol.: prezes dr Stanisław Hryniewiecki, w. prezes Franciszek Nowicki, sekretarz Feliks Gąsowski i skarbnik Roman Kotowski.

Miły list

Do
Zarządu Głównego
Stow. Weteranów b. Armii Polskiej we Francji
Referat Prasowy
w Warszawie

Komunikujemy niniejszem, że członkowie tut. Placówki wyrazili swe zadowolenie z powodu otwarcia przez Redakcję »Błękitnego Weterana« rubryki »Poszukiwanie adresów kolegów b. przełożonych i t. p.« i złożyli na ręce Zarz. Placówki gorące podziękowanie Redakcji, zgłaszając niżej podane nazwiska z prośbą o umieszczenie ich we wspomnianej rubryce.

1. **Por. Kluczyński, dow. odd. „Ardilli Polacci"**
2. **Plut. Senel, z oddz. szturm. „ „**
3. **Szereg. Majkowski Józef, z oddz. „ „**
4. **Kapr. Solarewicz Władysław, z 1 p. a. c.**
5. **„ Patreu Władysław, z 1 p. a. c.**
6. **Plut. Otlewski Antoni (pseudonim Orzechowski Aleksander), z 1 p. a. p. później w 5 p. a. p. oddz. prow.**
7. **Plut. Warcholik Juljan (pseudonim Wachowiak Jan) z 6 komp. 5 p. a. p. później 2 komp. kartaczownic.**
8. **Kapr. Bieńkowski Alfons (pseudonim Bogacki Adolf), z 2 p. a. p. późn. 5 komp. 3 sekc. 5 p. a. p.**
9. **Strzel. Słudencki Franciszek rzeźnik, z 5 p. a. p. rodem z Bielska Śląskiego.**
10. **Plut. Wiącek, z 5 p. a. p. 5 komp.**
11. **„ Mazur, z 5 p. a. p. 5 „**

Ponadto stosownie do artykułu pod tyt. »Odznaczenia niepodległościowe dla b. żołnierzy rekrutacji włoskiej« zamieszczonego w Nr. VI—VII »Błękitnego Weterana« podajemy poniżej adres 1 z b. oficerów »Arm. Błękitnej«.

Kobyliński Marcin, poczta Bukaczowce, pow. Rohatyn woj. Stanisławów.

Za Zarząd:

Sekretarz *Kaczmarek* Prezes *Lewicki*

OD REDAKCJI. Prosimy o przesyłanie zgłoszeń, adresów, informacyj i t. d., dotyczących kolegów wymienionych w tym liście — do Redakcji „Błękitnego Weterana".

Opłatek w Stowarzyszeniu

Wieczerza Wigilijna Okręgu Warszawskiego.

Zarząd Placówki Warszawskiej Stowarzyszenia, po raz pierwszy wystąpił z inicjatywą urządzania koleżeńskiej wieczerzy wigilijnej i urządził ją w dniu 19 grudnia 1936 r. w lokalu świetlicy Federacji P. Z. O. O. przy ul. Brackiej 1.

W wieczerzy z ramienia Zarządu Głównego wzieli udział: wprezes kol. pułk. S. Abżółtowski, skarbnik mjr. Zejfert i sekretarz gen. kol. Uhma, oraz 40-tu kilku kolegów Placówki Warszawskiej. Tak mały udział kolegów tłumaczymy tym, że był to wieczór urządzany po raz pierwszy, oraz wyjazdem kilkunastu kolegów z Warszawy na urlopy świąteczne.

Piękny i miły był ten wieczór, gdy po tradycyjnym podzieleniu się opłatkiem pod zapaloną choinką koledzy wspólnie odśpiewali szereg tak pięknych naszych kolend, a później przy miłym nastroju wspominali sobie różne wesołe epizody, przeżywane na polach bitew i poza granicami kraju.

Na zakończenie postanowiono urządzać takie wieczory co roku i to w jak najszerszym gronie.



Uczestnicy Opłatka Okręgu Warszawskiego.

Drukarnia i Introligatornia »JAŚMINA« Warszawa, Elektoralna 18. Tel. 6-49-66.